CENA ZŁ 20

Henryk Worcell: „Rezerwat dzikich“

SOPOT
ul.Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

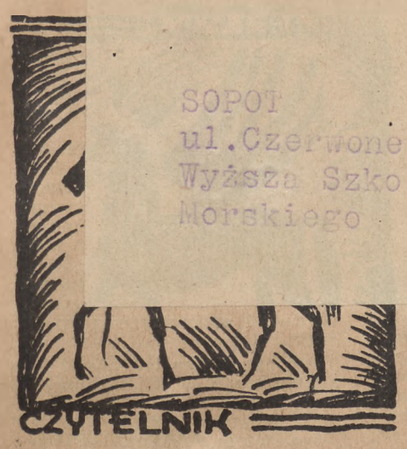

Odra
tygodnik

NUMER 12 (174) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 10 KWIETNIA 1949 ROKU ROK V

Prawa pokoju

(jb) Intelektualiści zaczęli walczyć o prawa pokoju. Zeszłoroczny Kongres Intelektualistów we Wrocławiu był początkiem wielkiej ofensywy ludzi ducha na pozycje wojny, w jakiejkolwiek formie by ona trwała. Intelektualiści są w tej chwili najważniejszym, najbardziej świadomym swego działania elementem budowy trwałego frontu pokoju.

Po Wrocławiu — Paryż. W Paryżu zbierają się intelektualiści, by radzić nad tymi samymi, tak bardzo ludzkość obchodzącymi sprawami pokoju. Pokój nie jest rzeczą niemożliwą. Osiągnąć się go da nawet w tak rozhisteryzowanych wojennie czasach jak dzisiejsze. Porozumienie ludzi ducha, twórców nauki i sztuki, dowodzi, że idee postępu nie tylko nie są obce naszej sztuce i nauce, ale nawet stają się źródłem natchnienia, podstawą wyjściową do badań, naczelną zasadą artystyczną. Z ufnością zatem możemy patrzeć w rozwój sztuk i dyscyplin. Z ufnością w rozwój myśli ludzkiej.

Nie znaczy to, że idea pokoju stała się w kołach uczonych i artystów — jedyną i powszechną. Dobrze wiemy o tym, że istnieją także — popierane usilnie przez określonych polityków — reakcyjne prądy w nauce i sztuce świata. Przeciwko tym reakcyjnym tendencjom, przeciw próbom zdeterminowania żywota ludzkiego za pomocą pojęć i zdarzeń wojennych — występują intelektualiści, prorocy konkretnego pokoju, budowanego w oparciu o ideę postępu, o humanizm i demokrację, o praktyczne przykłady realizacji tych pojęć w życiu państw i narodów.

Po Wrocławiu — Paryż. Obrady paryskie stanowić będą jeszcze jeden jasny punkt w rozwoju świata powojennego. Intelektualiści polscy, których reprezentacja niewątpliwie odegra twórczą rolę na terenie kongresu paryskiego, łączą się myślą z treścią paryskich obrad. Pokój jak chleb jest sprawą wszystkich ludzi, sprawą pierwszej potrzeby. Walka o pokój jest zatem naczelną walką naszej epoki. Uzbrojeni w idee postępu — walkę tę wygramy.

FELIX STOESSINGER

Słowo i zbrodnia

W piśmie „Die Weltbühne“ ukazał się ciekawy artykuł Feliksa Stössingera (Zurych) p. t. „Vom Wort zum Mord“, wykazujący związek, jaki zachodzi między słowem i czynem, między żargonem militarystów faszystowskich a skutkami zbrodniczego systemu.

W ostatnich latach zastanawiano się tu i ówdzie nad tym, kiedy zaczęło się odczłowieczenie człowieka, kiedy zabójstwo i torturowanie człowieka stały się faktami, które język przedstawiał z tak małym przywiązywaniem do tego wagi jak trzaskanie chróstu.

Sądzę, że należało raczej postawić pytanie, kiedy język zaczął określać zabójstwo tak rzeczowo, że już samo słowo nie budziło żadnego współczucia, ale nawet potrafiło je wyłączyć.

Na pytanie to możemy odpowiedzieć ze ścisłym określeniem daty. Było to na posiedzeniu wojennym cesarskiego Reichstagu w sierpniu 1914 roku Kanclerz Rzeszy, Bethmann - Hollweg, doniósł o niemieckim napadzie na Belgię i Francję i dodał do tego meldunek, że właśnie odbyły się starcia patroli. Jeden oficer i tylu i tylu żołnierzy zostało „zestrzelonych“ („abgeschossen“).

Jakkolwiek słowo to padło przed 34 laty, pamiętam jeszcze, jak wstrząsnęło ono wówczas wieloma ludźmi owego legendarnie humanistycznego czasu. Dotychczas słowo „abgeschossen“ mogło być odniesione do główek fajczanych albo pająców, ale nie do ludzi. Żadna niemiecka pieśń wojenna nie znała przed tą datą owego wyrażenia. Gdy słowo to z budy strzelniczej przeniesiono na pole bitwy, głowy ludzkie stały się jedynie glinianymi główkami, które rozpadały się w kawałki przy strzale i nie wywoływały żadnych innych uczuć jak radosne: „hopla“!

Nadanie cech nieludzkich (Verdinglichung) ludzkiemu cierpieniu poszło dalej, gdy Prusacy przekreślili kochane, niemieckie słowo „Invalide“, ażeby przez zadne wspólne korzenie słowne nie pozostać w łączności z „inową wroga“. Ponieważ jednak wszystkie języki posiadają coś wspólnego, mianowicie to, co ludzkie, stworzyło Prusactwo język nieludzki, który, niestety, wdarł się także po części do Austrii, Szwajcarii i Alzacji. Język ten wynalazł na określenie inwalidy wojennego, zgodnie ze swymi założeniami, słowo „Kriegsbeschädigt“: Przypominam sobie wstrząs, jaki również i to słowo wywołało. „Uszkodzić“ można by było dotychczas tylko talerze, kieliszki, fornirowaną płytę stołową, tapetę grubymi gwoździmi, oi, takie tylko rzeczy, których uszkodzenie następuje zewnątrz, a nie może osiągnąć wnętrza. Duszy nie można „uszkodzić“, a tylko zadać jej szkodę. Przeniesienie określenia szkody przedmiotowej na ludzkie cierpienia przekreśliło człowieczeństwo i zdolności czucia i współczucia. Rzecz zwana człowiekiem ulegała odtąd uszkodzeniu, o człowieku samym nie było więcej mowy. I tak nie było już więcej, w przeciwieństwie do czasów dawniejszych, zadnych pieśni inwalidzkich, nie było aktów wdzięczności dla inwalidów, tzw. „Kriegsbeschädigte“ przestali być w. w. (wirtschaftlich wertvoll), jak łajdacka formuła ostatniej wojny określała „gospodarczo wartościowych“ Żydów, Polaków, „Czechów Protektoratu“ i członków innych narodów, ażeby ich na jakiś czas ochronić przed zagazowaniem.

Słowo „abschiessen“ na oznaczenie zabójstwa człowieka uzyskało odtąd prawo obywatelstwa i jeszcze się rozwinęło. Język 1914 roku opróżnił drogi uczuciowe, na których później... (tu już nie sposób przetłumaczyć wszystkich przytoczonych w artykule synonimów na określenie zabijania i niszczenia, podam więc tylko parę spolszczonych wyrażeń, zaznaczając, że w polskim brzmieniu mogą one już nie oddawać pełnego nastroju i barwy słowa niemieckiego, wszystkie jdnak określenia powtórzę obok w nawiasie w pełnym brzmieniu niemieckim — przypisek tłumacza)... drogi uczuciowe, na których później „ubijano“, „usuwano“, „niszczono“, „łapano“, „załatwiano“, „do szczętu niszczono“, „gazowano“, „puszczano przez komin“, „zabijano zastrzykami“ (...auf denen später „gekillt“, „beseitigt“, „vernichtet“, „erfasst“, „erledigt“, „ausgehoben“, „ausgeputzt“, „ausgerottet“, „auradiert“, „gereinigt“ (von Menschen!), „verladen“, „durch Transport nach T II vernichtet“, „vergast“, „durch den Kamin entlassen“ und „abgespritzt“ wurde...)

Jest rzeczą oczywistą, że ludzie, którzy w ten sposób wyrażają się, wyrażają także swoje własne barbarzyństwo; słowo jednak oddziaływa poza tym jeszcze w sposób zaraźliwy, odduchawia ducha, zabija życie i czyni człowieka w jego centrum miłości zdrewniałym albo, jak się to mówi, zatwardziałym. W jak fantastycznej mierze to nastąpiło, przeżywamy przy lekturze, chciałbym wyraźnie powiedzieć: przy obowiązkowej lekturze „Państwa SS“ Eugeniusza Kogona (Bermann-Fischer, Stockholm), przy lekturze dokumentów z norymberskich procesów lekarzy pt. „Dyktat ludzkiej pogardy“ (Das Diktat der Menschenverachtung, Lambert, Schneider, Heidelberg) i przy przeznaczonym dla Himmlera raporcie o zniszczeniu warszawskiego getta w czasopiśmie „Die Wandlung“ (1947, zeszyt 6). Raport jest, nawiasem mówiąc, ozdobiony pięknymi, rondowym pismem pisanymi tytułami, w ogóle pod względem kaligraficznym bardzo interesujący, forma zewnętrzna jest wypielęgnowana, podczas gdy wewnętrzna dawno została zniszczona.

Uczynienie z człowieka towaru, monety miedzianej, doprowadziło do opublikowanej przez Kogona kalkulacji wartości gospodarczej więźnia obozu koncentracyjnego. Został on dokładnie oceniony na 1431 marek netto, przy czym przyjęto, że życie jego trwać będzie przeciętnie 9 miesięcy. Tak długo jak matka człowieka w łonie nosiła, tak długo nosił go także obóz koncentracyjny. Przedłużanie życia podrożyłoby koszta i podważyło równowagę budżetu państwa SS, było także zbyteczne dlatego, że 8 milionów więźniów obozów koncentracyjnych stało do dyspozycji. Wartość zwłok obliczała ta sama buchalteria na 200 RM — netto; ta wartość przeciętna była elastyczna, bo nie wszystkie zwłoki posiadały złote zęby czy jakąś pozostałość, poza tym zawartość tłuszczu w kościach była nieraz poniżej normy. Gdy pomnożymy wartość zwłok przez produkcję 7,5 miliona zwłok więźniów, otrzymamy dla społeczeństwa niemieckiego pokaźne saldo „gospodarczych wartości“, które jednak na skutek innych spekulacji oczywiście społeczeństwo to traciło.

Ale do tego dochodziły zawarte także w zwłokach, trudne do obliczenia wartości naukowe i duchowe. Tak więc postarał się prof. dr. August Hirt, dobry pasterz strassburskiego „Reichsuniwersytetu“, o „zabezpieczenie czaszek żydowsko - komunistycznych komisarzy“ w celu sporządzenia atntropologicznego komentarza Manifestu Komunistycznego na podstawie ich indeksu. Pewien komendant obozu koncentracyjnego posiadał budzący u wielu zazdrość zbiór tatuowanych skór ludzkich, których poprzednich właścicieli on sam zgromadził i — wypatroszył.. Inni SS-owcy wyrabiali z kości ludzkich ozdobne przybory na biurko tak że szczątki zwłok służyły jeszcze dogodnie jako przedmiot zajęć strażników w wolnym czasie. Inny zachował dla siebie interesujące głowy ludzkie i otoczył się takimi preparatami. Inny jeszcze dał sobie ze złotych zębów zabitych przez siebie ludzi sporządzić ozdobę dla łańcuszka do zegarka, na której dał wyryć imiona i daty swoich dzieci.

W ogóle wkroczylibyśmy na bezdroża, gdybyśmy sobie bydło SS próbowali przedstawić jedynie jako regresję „Reichsdeutscha“ do jaskiniowca „Neandertalu“. Tak jak u przywódców, również i w grupie w surowym współżyciu sąsiadowały ze sobą w obrębie wąskiej piersi obok goryla miłośnik dzieci i sztukmistrz życia. SS budowało sobie wokół komina krematoryjnego piękne wille, których urządzenia, jako materiał ilustracyjny przynosiłyby zaszczyt niemieckim czasopismom artystycznym. Czy tam przypadkiem nie zamieszczono ich zdjęć, należałoby właściwie jeszcze sprawdzić. Ponieważ dobrzy ludzie kochają kwiaty, otaczali się esesowcy ogrodami, parkami, zieleńcami, cieplarniami i klatkami zwierzęcymi. To, że w takich klatkach niedźwiedzie rozszarpywały obozowców, „nie posiadających gospodarczej wartości“, należałoby może odnieść do lektury utworu Kleista „Hermannsschlacht“, w którym takie postępowanie z jeńcem wojennym znajduje klasyczny wyraz. Ostatecznie SS nie było tylko nieokrzesanym bydłem. Któremuś dowództwu odsłonił Kogon tajemny ideał odrodzonej kultury helleńskiej i w tym celu proponował stworzenie panowania 5 procent arystokracji nad 95 procentami europejskiego heloctwa.

Jak straszliwe możliwości posiada słowo w kierunku odczłowieczenia, dowiedzieć się możemy także z dokumentów lekarskich. Dokumenty te, jak zresztą także i niemieckie wydanie „Państwa SS“ Kogona przez wydawnictwo Karola Albera, Monachium, oddaje się w ręce czytelnika niemieckiego z przeprosinami i ułagodzeniami, ażeby go niepotrzebnie nie rozgniewać. Listy nie ociekają krwią, ale znakami akt. Na przykład:

„L. dz. 1652/43 — RF/BN. Dotyczy: zbadanie przyczyny zakaźnej żółtaczki (hepatitis epidemica) —

Odnośnik: tam z 1. 6. 1943 — zn. 420/IV/43 l. dz. 6/43... itd.“

Treść listu wyraża zwięźlej i zrozumialej polecenie otrucia „8 Żydów polskiego ruchu oporu“. Później nadano wiwisekcji ludzi cechy przedmiotowe, mówiąc już nie o ludziach, ale tylko jeszcze o VP (liczba mnoga: VPn), to znaczy o osobach doświadczalnych (Versuchspersonen). Obóz żądał VP „do doświadczeń terminalnych“ (Terminalversuche), tj. bezwarunkowo śmiertelnych, do „doświadczeń na człowieku“ (Humanversuche), albo profesor Gutzeit z Wrocławia „stwarza możliwości przeprowadzenia experimentum crucis, przenosząc je ad hominem“, co w dodatku stanowi po prostu liberalistyczno-kłopotliwy sposób wyrażania się.

Tabele tej nauki zapisują jednak w rubryce „Todesfälle“ tylko jeszcze osoby kontrolne, terapeutyczne VP, szczepione VP, chore VP. Korespondencja lekarzy SS o „doświadczeniach na człowieku“, pisana takim szyfrem, nie zawierałaby nic humanitarnego, gdyby od czasu do czasu list o mordach masowych nie kończył się „serdecznymi pozdrowieniami także dla miłej małżonki. Heil Hitler“.

Żaden wyraz w żadnym języku nie oddziaływał jednak tak odczłowieczająco jak niemieckie słowo: Befehl. Minęły czasy pruskich przepisów wojskowych i pruskiego ustawodawstwa wojennego, w których poddanym nie wolno było wykonywać karalnych czynności. Czynny przy gazowaniu morderca ze Stuthofu oświadczył, jak przeprowadzał i jak przez szkiełko obserwował przebieg gazowań — dodając: „Przy wykonywaniu tych czynności nic nie odczuwałem, ponieważ otrzymałem rozkaz czynienia tego. A zresztą zostałem w taki sposób wychowany.“

Wychowawcą jego było słowo. Tym, co go wychowa na nowo, może być też tylko słowo.

Spolszczył z niemieckiego
ALEKSANDER WIDERA

A. MARIAMOW

Człowiek z bronią

Czołgi szły polem, silnie ugniatając wilgotny śnieg, już ciemniejący od ciepłego słońca i wiosennego wiatru.

Rozjemca dawał coraz to nowe zadania. Wstążki medali świadczyły o tym, że oficer z opaską rozjemcy brał udział w wielu walkach; na ćwiczeniach wspominał boje, w których uczestniczył w czterdziestym drugim roku w rejonie Wołgi, na Ukrainie, pod Pragą, w Mandżurii. A w czołgach siedzieli młodzi chłopcy, którzy zaledwie kilka miesięcy temu włożyli wojskowy mundur, i rozjemca zapragnął zobaczyć, jakby się oni zachowali w okolicznościach, w których jemu samemu zdarzało się znaleźć.

— Odłamek zagwoździł okienko — zakomunikował rozjemca.

I on wspomniał, jak to zdarzyło się jemu samemu w bitwie pod Krzemieńczugiem i jak to było ciężko. A załoga czołgu, w którym w tej chwili siedziała, robiła to, co należałoby robić, gdyby istotnie uszkodzone było okienko czołgu, — to samo robiła załoga, co on robił wtedy pod Krzemieńczugiem.

Rozjemca obserwował strzelca-radiotechnika. Wydawał mu się on zupełnie młodym człowiekiem, może dlatego właśnie, że wyraz jego twarzy był poważny, jak to bywa u podrostków, którzy chcą wyglądać na starszych niż są.

Ćwiczenia zakończyły się: czołgi przeszły z hałasem przez pole i nieduży gaik. Motory wyłączono i nastąpiła dawno oczekiwana zupełna cisza. Za rozjemcą wyskoczyli z czołgu członkowie załogi. Strzelec-radiotechnik zeskoczył na śnieg i uśmiechnął się, przeciągając się.

— Chrulew! — zawołano od sąsiedniego czołgu i on odwrócił się na wezwanie.

Drugi czołgista podszedł do Chrulewa, z którym kontynuował rozmowę, stojąc przy rozjemcy.

— Tyś prosił o gazetkę. Oto ją masz.

— Tak jest — powiedział Chrulew. — Mówią, że w gazetce tej jest mowa o naszym kołchozie.

Rozłożył gazetę i głośno przeczytał wzmiankę, w której opowiadano, że w rejonie Koroczańskim okręgu Kurskiego wysadzono dokoła pól kołchozu „Czerwony Partyzant“ dziewięć tysięcy sadzonek klonu.

— Przyjadę do domu — powiedział Chrulew — zastanę wielkie zmiany. Dookoła lasy...

— Et, kiedy przyjedziesz do domu, las jeszcze nie wyrośnie.

— A jak długo rośnie klon?

— Piętnaście lat minie, zanim z sadzonki wyrośnie drzewo.

— Jak ja będę wyglądał, kiedy będę przechodził pod tymi drzewami? — sam siebie zapytał Chrulew i zamilkł, zamyśliwszy się. — Najwidoczniej ukazała się jego oczom wieś kurska i takie same, ciemniejące od ciepłych przedwiosennych wiatrów, śniegi i gaje, które zaszumią tam za piętnaście lat. „Czy są jeszcze na świecie ludzie, — pomyślał oficer z opaską rozjemcy na rękawie płaszcza, — którzy by mogli tak myśleć o tym, co będzie na ich ziemi za piętnaście, dwadzieścia lat, i nie tylko marzyć o tym, ale ściśle wyobrażać sobie to swoje własne przyszłe życie?“.

Jakże olbrzymia ilość spraw i czynów zapoczątkowuje się każdego dnia, prac, rozłożonych na długi szereg lat.

W Uzbekistanie przychodzą do rajkomu (rejonowego komitetu) komsomolcy — zapisują się do grona tych dziesięciu tysięcy, którzy wybierają się wiosną na Głodny step, ab opanować pustynię, nawodnić ją i posiać bawełnę.

I niewątpliwie tak samo, jak ten czołgista z Kurskiego okręgu czyta o swoich towarzyszach, sadzących drzewa przyszłych gajów, jakiś kokandzki komsomolec, ubrany w mundur wojskowy, dowiaduje się o czynach swoich przyjaciół z dalekiego nadgranicznego okręgu.

Pod Wilnem, w Zielonej Puszczy rąbią las, żeby poprowadzić ulice, budować domy nowego miasta. Już można zobaczyć na planach i szkicach, jak będą wyglądać domy tego nowego miasta. I może właśnie te domy próbuje sobie wyobrazić młody Litwin w mundurze marynarza na okręcie, wypływającym na ćwiczebne strzelanie.

Ludzie, którzy wysadzają trzydzieści sześć milionów sadzonek dla przyszłych lasów po brzegach Uralu, ludzie, którzy zakładają fundamenty pod nowe uniwersyteckie gmachy w Moskwie, na Wróblich Górach, ludzie, którzy pracują na Seweńskiej tamie, myślą o tych samych sprawach i żyją tymi samymi dążeniami, co i ludzie w mundurach piechurów, czołgistów, lotników, marnarzy, wypełniający zaszczytny obowiązek sowieckiego obywatela.

Naród i Armia to jedna rodzina. O tym mówił nam Stalin.

W czasie, kiedy kurski komsomolec pracuje przy sadzeniu drzew, które będą osłaniać zasiewy jego synów, — drugi, także kurski komsomolec, z bronią w ręku na dalekiej granicy osłania swego pracującego towarzysza.

Człowiek z bronią jest takim samym budowniczym jak ten, który pracuje w lasach komunistycznej budowy.

Radziecki żołnierz otrzymuje broń nie po to, żeby inne narody sterroryzować i w niewolników zamienić. Zabezpiecza on wolność pracy i utrwala pokój.

Nie ma takiej drugiej armii na świecie.

I dlatego, że nasza armia jest potężna, niezawodna jej broń, doświadczeni żołnierze, — możemy myśleć z pełną wiarą o tym, co będzie u nas za lat piętnaście.

Radziecki człowiek z bronią — to niezawodna ostoja naszego przyszłego szczęścia.

A. Mariamow

Z rosyjskiego spolszczył
Józef Bielicki

JERZY ZAGÓRSKI

Rys. **Janina Cugowska**

Chrzciny w Cadelech

Noweli filmowej cześć druga

Los nie obdarzył młodego małżeństwa dzieckiem. Dawno już nad Europą wieją flagi narodów wyzwolonych — polskie, francuskie, belgijskie, czeskie, norweskie, jugosłowiańskie, staruszki z kalendarza zdzierają kartkę z datą 17 września 1948 i gawędzą, że chyba ich rodziny są skazane na wymarcie. Jedyna

wnuczka Geneviève Porchet — Irène jakoś nie ma dzieci, choć wyszła za Polaka, a już mija 5 lat od ich ślubu. Poco się wtedy kryli przed nią z tym ślubem ci głuptasi? Francuzi przecież nie mają przesądów ani rasowych ani narodowych. Mój Boże, ale jednak lepiej byłoby, gdyby Casimir się naturalizował, miałby wtedy zupełnie inne prawa i przywileje... Sama staruszka nie może młodym wiele dać, bo wszystką ziemię sprzedała już w czasie tak ciężkiej dla niej okupacji, dobrze że ma za przyjaciółkę tę Emilię Crasegnac, ta na wojnie nic nie straciła, bo jej dzieci były wtedy rozsądne (sages) i jeszcze powiększyły majątek. Teraz dzięki zadawnionej przyjaźni z Emilią mogła dla Casimir i Irène wystarać się o wydzierżawienie gospodarstwa koło szosy, właśnie od Crasegnaców.

W gospodarstwie koło szosy przy południowym posiłku rozmawiają ze sobą Kazimierz i Irène. Jak to dziwnie się życie układa, że oni są teraz dzierżawcami u ludzi, którzy niewątpliwie kontaktowali się z Niemcami, których trzeba było się wystrzegać, a którzy jeżeli teraz nie są oskarżeni o kolaborację — to tylko dlatego, że byli dostatecznie sprytni, aby wytłumaczyć się z zarzutów i nie dać przyłapać. Irène rzuca myśl, czy nie lepiej byłoby im pojechać do Polski. O dziwo, właśnie ona o tym myśli, ona Francuzka, podczas gdy Kazimierz nie bardzo chce nawet o tym słuchać, choć przecież to on jest Polakiem.

Jest bardzo upalny dzień i ciężko idzie praca starzejącemu się Krośnikowi. Pracuje jak i przed wojną u tego samego Espagnola, który jak dawniej chodzi za nim z tą samą lornetką po polach i tak samo pilnuje czy nie ustaje w pracy.

— Monsieur, il est temps de travail!

Gdy dokładnie o dwunastej przerywają pracę i spożywają razem posiłek jak kolega z kolegą, Walenty pozwala sobie na ostre przygadywanie.

— Taki wyzysk może być tylko w dzikim Dordogne, na całym świecie z tym już kończą. Mam tego dość, wrócę do Polski, Polska po raz pierwszy swych synów wzywa do powrotu! Tam nie będę pracował na Espagnola!

— Bien, powiada Espagnol, ale po odpracowaniu kontraktu!

Przyjmuje dyskusję, przy winie sprzecza się jak równy z równym, ale gdy nadchodzi godzina druga, patrzy na zegarek, mówi:

— Monsieur, il est temps de travail!

Idą na pole. Na polu straszny żar. Pracują do wieczora.

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem, kończąc prace w swoim gospodarstwie rozmawiają Kazimierz i Irène.

— Wozińskim urodziło się czwarte, mówi Kazimierz, przedzierzgnięty całkowicie w rolnika francuskiego. Czerstwy, zdrowy mężczyzna o muskularnych ramionach, dobrze opalony, ma

na sobie szafirową koszulkę bez rękawów i długie spodnie do pracy w polu. Granatowy beret odsunął na tył głowy, wierzchem dłoni ociera czoło.

— Ciężko im, mówi piękna i hoża Irène.

Z rozmowy, która się między nimi zawiązuje, wynika, że Wozińskim urodziło się czwarte dziecko. Wozińskim teraz znacz-

nie gorzej się powodzi niż dawniej, bo Jan jest częściowym inwalidą i kuleje, co mu przeszkadza w pracy w polu, a do innych zawodów trudno byłoby mu się dostać, bo kto we Francji dostał raz prawo pobytu celem pracy na roli ,temu nie wolno przerzucać się do innych zawodów, utraci prawo pobytu i nie przyjmą go do innego związku. We Francji daje się poważne zasiłki, gdy się dziecko rodzi, potem wiele się pomaga takiej rodzinie, liczna rodzina łatwiej obrobi ziemię, ale dzieci są jeszcze małe i żadne pomoce jednak nie wyrównają nowego obciążenia. Trzeba im okazać serce i troskliwość. Irène wysyła Kazimierza do nich z koszykiem pełnym melonów i butelką wina.

(Ciąg dalszy na str. 2 i 3)

JAN BARANOWICZ

Pieśń przodowników

I

Metal czy ziemia, topór czy kielnia —
prędzej i sprawniej, lepiej i więcej!
Miejska fabryka, wiejska spółdzielnia —
jedność i wola i twarde ręce.

Górnik czy tokarz, hutnik czy kowal,
włókniarz przy krośnie, chłop przy żniwiarce: —
Głowom — wytyczać! Mięśniom — przodować!
Pieśniom — podrywać serca i palce!

Goreją piece. Chwieje się zboże.
Pokój źrenice ubiera w świty.
O każdą tonę, o każdy korzec
rośnie dobrobyt Rzeczpospolitej.

Praca jest prawdą,
ładem i sensem —
Pogodą oczu,
razowym kęsem —
Marszem w zwycięstwo,
Ludu ojczyzną —
Fundamentem
Socjalizmu — —

II

Grają dynama. Huczą motory.
W kamieniołomach pęka dynamit.
Pędzą wagony. Dudnią traktory.
Mocno jak wicher. Ciężko jak kamień.

Stękają dźwigi. Dyszą kopalnie.
Tańczą zegarów wskazówki wąskie.
Dymy jak świdry wiercą spiralnie
niebo nad Polską, chmury nad Śląskiem.

Szerzej i śmielej! Rachunek prosty.
Zginaj zapory jak sztabę płomień! —
Sobie stawiamy tamy i mosty,
fabryczne hale i jasne domy.

Praca jest prawdą,
ładem i sensem —
Pogodą oczu,
razowym kęsem —
Marszem w zwycięstwo,
Ludu ojczyzną —
Fundamentem
Socjalizmu — —

LEON MOUSSINAC

Reporter
KTÓRY ZERWAŁ PĘTA

Wszystko mierzy się dziś na skalę światową. Widzieć, rozumieć, informować — to trudne zadania, narzucone reporterowi przez obecne potrzeby informacji. Dawna literatura wszystkich krajów obfituje w liczne przykłady: wielu było pisarzy, których okoliczności lub zainteresowania skłoniły do przekazania nam swych spostrzeżeń, dotyczących spraw, wydarzeń i ludzi im współczesnych. Pisma ich są dla nas dowodami, których wartość jest raczej funkcją talentu, jaki się w nich przejawia, niż stosowanej metody. Są to „kroniki", „komentarze", „podróże", których autorzy nie potrzebują być wymienieni. I nie uznajemy za słuszne takich racji, które nie pozwalałyby nam uważać reportażu za równego innym rodzajom literackim.

Wystarczy przeczytać którąkolwiek stronę reportaży Egona Erwina Kischa, aby przyjąć za oczywisty fakt, że ten Czech, piszący w języku niemieckim, znalazł w reportażu środek do wykazania swego geniuszu widzenia, rozumienia, informowania i świadczenia. W trzydziestu prawie tomach przekazuje nam swoje notatki, informacje, uwagi, sporządzane w czasie podróży bardziej lub mniej awanturniczych i niebezpiecznych, przedsiębranych w większości z woli i na żądanie czynników politycznych. Reportaże te dotyczą spraw zarówno materialnych jak i duchowych. Nic nie uchodzi uwagi Kischa, ciągle baczny, dostrzegający nawet to, co ukryte jest przed okiem zwykłego podróżnika, wyzwalający głębię swej wnikliwości przez czar pisarski. Poetyczny, ironiczny, wzruszający, pełen humoru, dokładny i zawsze ściśle trzymający się prawdy, Egon Erwin Kisch osiąga obiektywną rzeczywistość, dotyczącą najrozmaitszych społeczeństw, w których sprawy na pewien czas się wmieszał. Jednocześnie porusza problemy zasadnicze i w ten sposób podaje tę rzeczywistość ku wzbogaceniu naszego umysłu, jak w innych epokach podróżnicy ofiarowywali swoje zdobycze nie swojemu narodowi lecz królowi. Pisarz stworzył sobie środki skuteczne, mogące służyć jego zdolności podchodzenia do faktów w sposób naukowy i artystycznego ich opisywania. W ten sposób realizuje swój cel, polegający na tym, aby czytelnik wziął udział w jego przyjemnościach i w jego analizie, aby przyjęta została prawda jego informacji i aby wszelkie wnioski stały się oczywiste. Egon Erwin Kisch i jego dzieła żyją dla nas w jego książkach, czy to w Berlinie, Wiedniu, Moskwie, Sidney, Madrycie, Nowym Jorku, Pekinie czy też w Meksyku, gdyż właśnie wygnanie skłoniło go do dokonania w Meksyku „odkryć", w których dzisiaj jest nam dane uczestniczyć. Nic nie uchodzi uwagi Kischa, powiedzieliśmy wyżej. Ale upodobanie, z jakim on sam obserwuje, bada i analizuje fakty czy to z dziedziny moralności, ekonomii, socjologii, sztuki czy polityki, przekazuje nam ze szczodrobliwością serca i ducha, z subtelnością i rozumem, powiedzmy ogólnie z mistrzostwem, które trafia prosto do naszego przekonania. O Dziewicy z Guadelupy pisze: „W tej historii o cudzie nic nie pozostawiono przypadkowi, wszystko jest przewidziane z góry", i bez żadnego wstępu pisze dalej z humorem: „Matka Boska z Guadelupy musiała sobie zadać wiele trudu, aby udowodnić swoje objawienie, ponieważ tylko jeden stary Indianin był obecny przy Jej ukazaniu się, będąc w ten sposób pierwszym i ostatnim świadkiem tego zdarzenia".

Jak reporter Staley wyruszył na poszukiwania Livingstone'a i odnalazł go, reporter Egon Erwin Kisch, aresztowany przez nazistów jako antyfaszysta w noc pożaru Reichstagu, wyruszył na poszukiwanie wolności i odnalazł ją w swej ojczyźnie.

„Odkrycia w Meksyku") są znakomitą informacją najbardziej różnorodną i wnikliwą, jaką może być informacja o kraju, którego poznanie jest bardzo trudne, a którego obrazy, zwłaszcza od czasu ukazania się „Burzy nad Meksykiem" S. M. Eisensteina, nie przestają nas nawiedzać. Książka ta składa się z szeregu opowieści ciekawych, ujmujących, dowcipnych i alegorycznych. Kiedy „wulkan wybucha", dowiemy się wszystkiego z tego widoku, o znaczeniu tego wybuchu i jego następstwach — malowniczość i poezja ożywiają opis, obserwacja nie jest formalna, ale określona i logiczna; kiedy „kaktus" staje się przedmiotem opowiadania — ukazuje nam go w formie parodii encyklopedycznego wykładu z ironicznymi odnośnikami do Goetego, Corteza, Napoleona, Humboldta, do celnika Rousseau'a i do kilku innych „specjalistów" („Nie, nie, panowie, kaktus nie dlatego dostąpił zaszczytu figurowania w herbie Meksyku, że Meksyk jest jego ojczyzną"); autor prowadzi nas przez kilka rozdziałów od heraldyki aż do „dialektycznego" wniosku, którego pointa zawarta jest w tym oto przykładzie: „Zapewne niejeden z was spacerował jakiegoś popołudnia dla własnej przyjemności po prowincjonalnym miasteczku. Nie zwracał żadnej uwagi na zakurzoną i pospolitą roślinność, pokrywającą wzgórza. Nie przedstawiała ona najmniejszej wartości ani dla niego ani dla kogokolwiek z okolic miasta. Mijał ją z całkowitą obojętnością.*

Ale w kilka dni później wraca o zmierzchu tą samą drogą i nagle potoki światła wyrywają go ze zmęczenia i zadumy. Brzydka, zakurzona trawa zamieniła się w kwiaty. Wstydzi się niespodziewanego wrażenia, wywołanego przez widok tak wspaniały. Jako uczeń szkoły dialektycznej powinien by spodziewać się rozwinięcia tego kontrastu. Powinien by wiedzieć, że w okresie rewolucyjnym ewolucji piękno rodzi się z tego, co jest najbardziej nędzne."

Wszystko to jest charakterystyczne dla humoru Egona Erwina Kischa i dla jego sztuki. Książka ta na niewielu, zda się, stronach podaje nam maksimum wiadomości o przeszłości i teraźniejszości Meksyku i, co więcej, jeśli umiemy to zrozumieć, o przeszłości i teraźniejszości ludzi i społeczeństw. W dziele Egona Erwina Kischa nie ma rzeczy bez znaczenia, stąd jego wartość.

Egon Erwin Kisch naprawdę zerwał swe więzy; słusznie więc mieni się „reporterem, który zerwał pęta". Za zwycięstwo swoje i nasze, zwycięstwo ludzi wolnych.

Spolszczył z francuskiego
JÓZEF BIELICKI.

*) Doskonała ta książka winna co prędzej znaleźć się w przekładzie polskim.

RUDIN

Bajka

Gdy pociąg opuścił stację, i pasażerowie, którzy byli wyszli po wrzątek, po gazety i tylko „tak sobie", powrócili i pozajmowali swoje miejsca, wyszło na jaw, że brakowało w wagonie obywatelki, jadącej wraz z dzieckiem na dolnym miejscu. Dzieciak, pięcioletni chłopczyk, siedział tam gdzie poprzednio, lecz mamy przy nim nie było. Najwyższe wzburzenie zapanowało wśród pasażerów, którzy popędzili do konduktora.

Ten spokojnie im wytłumaczył, że najwidoczniej mamusi przytrafił się typowy wypadek spóźnienia się na pociąg, że nie ma powodu szat rozdzierać, bo w Rostowie, dokąd jechała nieobecna obywatelka, on, konduktor, odda jej rzeczy wraz z dzieckiem dyżurnemu urzędnikowi, pasażerka przyjedzie następnym pociągiem, i wszystko będzie w porządku. Mimo to, cały wagon począł z podnieceniem omawiać to, co się stało. Jedni krytykowali pozostałą na stacji kobietę za to, że wyszła sama, zamiast wziąć dziecko ze sobą i choć przynajmniej spóźnić się z nim razem. Inni znów robili sobie gorzkie wyrzuty, że pozwolili jej wyjść, zamiast okazać troskliwość i delikatność uczuć kobiecie z dzieckiem i pójść samym kupić dla niej to, czego potrzebowała. Byli wreszcie tacy, którzy przypominali sobie, gdzie ją spotkali na dworcu czy w bufecie, gdzie kupowała maślane, czerstwe pieczywo, czy też na rynku obok dworca, przy kupnie pieczonej kury.

Podczas tych wszystkich rozmów, osierocony chłopczyk siedział milcząc i wyglądał oknem. Parę razy odwracał się i popatrywał na drzwi to jedne to drugie, aż wreszcie głośno zapytał:

— A gdzie jest moja mamusia?

— Twoja mamusia — fju, fju... poinformował go siedzący naprzeciw niego grubas. — Ale ty tego... nie przejmuj się, W Rostowie dogoni cię napewno.

Dzieciak milczał przez parę sekund, jakby chcąc się zorientować i wreszcie nieoczekiwanie głośno wybuchnął płaczem.

— Pfe, jak to brzydko. — powiedział gruby pasażer. — Taki duży, zupełnie dorosły, można rzec, mężczyzna i — płacze. Może chcesz kiełbasy?

— Mamy chcę, — przez łzy wyjąkał chłopiec.

— A jej nie ma. Rozumiesz? Po-zo-sta-ła na stacji. Z twego na pewno powodu: tobie kupowała marmeladki, czekoladki i tak dalej. A ty jeszcze masz do niej pretensje. Jak ci na imię?

— Włooodziooo.

— To znaczy Włodzimierz. Piękne imię. A z tatusia jak ci będzie?

— Nnie wwieem.

— Powinieneś wiedzieć. Już jesteś duży chłopak. Ile masz lat?

— Nniee wwieem.

— I tego także nie wiesz? Poco jedziesz do Rostowa?

— Do tatusia.

— Do tatusia? A nawet nie wiesz jak mu na imię... No, Włodzimierzu synu — powiedzmy — Jana, na kiełbasę apetytu nie masz, na papierosy dla ciebie za wcześnie, jakby tu cię zabawić? Najlepiej, kładź się, bracie, spać.

— Opowiedz bajkę — zawołał nagle Włodzio i przestał płakać równie nieoczekiwanie jak zaczął.

— Bajkę?. — zdumiał się gruby pasażer. Jakąż by tu dla ciebie bajkę wymyślić? No — więc dobrze, posłuchaj... Za górą, za rzeką, w pewnym mieście, w pewnym domu nie funkcjonowała winda. Nie funkcjonowała rok, dwa latka sobie stała, lokatorzy do tego już przywykli, komitet domu także, i wszystko było — jak się to mówi — w porządeczku. Aż tu nagle wpływa do mnie od lokatora czterdziestego siódmego mieszkania ob. Muszkina zawiadomienie: że jeśli winda nie będzie zreperowana, to on, jako chory na serce, zawiesza swoje opłaty za powierzchnię i miejskie świadczenia. Oczywiście, uważałem to wszystko za żarcik i nie zwracałem uwagi. Przeszedł miesiąc, Muszkin nie zapłacił, przechodzi jeszcze jeden, znów nie płaci. Już widzę, że to nie żarcik. Idę do niego i powiadam: „Towarzyszu Muszkin, jesteście złym płatnikiem".

— Kto? — zapytał Włodzio.

— Zły płatnik to taki, który nie płaci za mieszkanie i jeszcze się obraża, kiedy mu to wypomnieć. A ten rzuca się na mnie jak dziki tygrys...

Włodzio wzdrygnął się i rozpłakał się rzewnie.

— Co ci jest? Słuchaj tylko dalej. Rzuca się więc na mnie jak dziki tygrys i krzyczy w niebogłosy: „Nie dostaniecie odemnie ani kopiejki, dokąd winda nie ruszy. Ja mam serce nie w porządku, serce". Cóż ci będę długo gadał. Tak ten drań zręcznie się wziął do dzieła, tak zorganizował resztę lokatorów, że wreszcie dopiął swego, zmuszony byłem zrobić remont windy. Przestańże wreszcie płakać. Jeśli nie masz ochoty na bajkę, to nie trzeba... i gruby pasażer odwrócił się zirytowany.

— Z pewnością jesteście administratorem domu, towarzyszu? — zapytał pasażer leżący na górnej półce.

— Owszem, jestem nim — odrzekł grubas.

— Pan nie bardzo umie obchodzić się z dziećmi. Szkoda, że pan mu nie opowiedział także i o centralnym ogrzewaniu. Przecież to dziecko, a nie administrator rejonu mieszkalnego. On potrzebuje bajki, rozumie pan?... bajki!

— Skądże ja mu wezmę bajkę! Winda w domu znowu zaczęła funkcjonować, toż najlepsza bajka!

— Owszem, zgadzam się: bajka, ale nie taka, jakiej potrzeba. Współczesna bajka dla dzieci powinna orientować, rozbudzać i dawać bodźce uświadomionemu dziecku. Cóż za korzyść odniesie dziecko w stosunku do swego życia na przyszłość z tego wszystkiego, coście mu opowiedzieli?!

— Jakto, co za korzyść! A może i on także z czasem doprowadzi do naprawy windy w domu.

— Jeszcze nie wiadomo na jakim piętrze chłopczyk mieszka, kiedy dorośnie, a pan już go windami straszy. Włodeczku! Przestań płakać. Posłuchaj: opowiem ci teraz bajkę ja.

Włodzio wytarł oczy piąstką i przestał płakać.

— No, toś zuch! Posłuchaj tylko dobrze, bo to bajka interesująca i pożyteczna. — Pasażer zlazł z górnej półki i przysiadł się do Włodzia. — Był sobie raz chłopczyk, malutki chłopczyk podobny do ciebie i też nazywał się Włodzio. Otóż ten Włodzio powoli zauważył, że go coś boli potrochę w prawym boku. Był to sprytny chłopczyna, i rozumiał, że chorobie lepiej jest zapobiedz, niż ją potem leczyć, to też opowiedział o swoich bólach mamie. Mama jego też była kobietą kulturalną, zaraz więc przyprowadziła synka do mnie. Pomacałem ja Włodeczka, pomacałem i od razu go — na stół operacyjny. Rozcinam mu brzuszek i odkrywam wspaniałe ropne zapalenie ślepej kiszki. A gdyby Włodzio nie od razu powiedział mamie o tym, że go boli, i gdyby oboje przyszli do mnie o dwa trzy dni później — byłoby zapóźno i chłopczyk by już nie żył...

Włodzio aż zastrząsł się cały i znów się rozpłakał.

— Jeśli się nie mylę, towarzyszu doktorze, — powiedział sarkastycznie administrator domu, wy też nie umiecie obchodzić się z dziećmi. Po waszej bajce malec jeszcze głośniej ryczy.

— Kapryśny, pusty malec! — zawołał doktór i wgramolił się z powrotem na górną półkę.

— Włodeczku, nie słuchaj tych wujków — zawołał trzeci pasażer, podchodząc do malca i gładząc go po głowie. — Pewien mały zajączek miał ogon taki długi, że nigdy nie mógł zobaczyć jego końca i zawsze się w nim plątał. Pewnego dnia zajączek pobiegł do lasu, a ogon mu się o drzewo zahaczył i nie puszcza zajączka ani w tył ani naprzód...

Włodzio roześmiał się głośno.

— W tym samym czasie biegł przez ten las sam pan lis. — „Lisku, lisku, — powiada zajączek — pomóż mi się odczepić...

Przygody na temat ogona zajączka rozwijały się kolejno, Włodzio słuchał, zanosił się od śmiechu i wreszcie, uszczęśliwiony, zasnął smacznie.

— No, widzicie — rzekł trzeci pasażer, zwracając się do tamtych dwóch. — Dzieci to tylko dzieci, a bajka to tylko bajka. Nie mam pojęcia, czy malec osiągnie jakąś korzyść dla swojej przyszłości z tej mojej bajki, ale dla swojej teraźniejszości już, jak widzicie, ją osiągnął — tu mówca nakrył śpiącego i uśmiechającego się przez sen Włodzia kołderką i cichutko, na palcach, poszedł w swoją stronę.

Spolszczyła z rosyjskiego
Kazimiera Iłłakowiczówna

STEFAN FLUKOWSKI

KOPERNIK

Byłem tym, który stopę oderwał od ziemi,
przeniósł na słońce.
Był to krok naprzód,
ubogi w dowody, na paru przyrządach
daleki od ścisłości oparty.
Zrobiłem go pierwszy
ten krok pełen jeszcze niedoskonałości,
pełen obawy,
nie przed naturą, lecz ludźmi —
okrucieństwem ich ciemnoty.

*

Wiem, że stanąłem twarzą w twarz z nowymi czasy,
z światy nowymi, których sens rachunkiem ścigam.
To nie epoka magii, czarów i alchemii,
ale nauki ścisłej, badań przenikliwych
czasu, i nie ruszenia ziemi wokół słońca:
to człowiek cały w służbie odkrywanej prawdy.
Więc dlatego doniosło ostrze mego cyrkla
gwiazdę słońca do punktu stałego w przestrzeni.

*

Dzięki trzem instrumentom — niechże je wymienię
moich drogich przyjaciół, którzy nie zawiedli —
udało mi się wskazać pewne nowe drogi,
„astrolabium" czyli „sfera armillarna",
„triquetrum" lub „instrumentum parallacticum"
i „horoscopus" zwany też inaczej „quadrans".

*

Byłem tym, co dopuścił możliwość
istnienia innej prawdy o świecie,
wyzwoliłem dowody
własne i wielu innych,
dowody,
których łańcuch ciągle jeszcze nieskończony.
Dokonałem tego na ziemiach Polski,
głównie w mieście Fromborku.
odważyłem się:
na ostrzu mego cyrkla odniosłem jak diament
gwiazdę słońca do punktu stałego w przestrzeni.

(Z poematu X-Dunikowski)

Chrzciny

(Ciąg dalszy ze strony 1)

W bok szosy po wertepach, ścieżynach, sobie tylko znanymi przejściami i skrótami drogi pnie się mężczyzna z czterolitrową butelką wina i melonami w koszyku. Ciężki ładunek i droga nie lekka, ale czasu wojny człowiek przekradał się tędy nie z takimi ciężarami.

Na wzgórzu majaczy znane nam już tak dobrze gospodarstwo Wozińskich — „Cabane" — dom bez komina, kurna kamienna chałupa teraz jest w stanie bardziej zapuszczonym niż przed tym. W bajorku tylko parę gęsi. Krzew figi w połowie usechł. Winnica, która podchodziła tuż do domu, zajmuje dziś mniej przestrzeni, widać stare, nieowocujące już kłącze.

Mężczyzna, który odbył z koszem drogę do tego domu stuka do drzwi. Wchodzi do środka. W

przedsionku wita się z gospodarzem. Jan Woziński od czasu wojny kuleje.

— Macie na szczęście — Kazimierz wręcza melony i wino.

— Zawsze nas obdarowujecie — odpowiada Jan.

— Cóż, gospodarstwo, źle nie idzie, a dzieci nie mamy.

— Wiecie, mieliśmy wam trzymać do chrztu, jakby wam się urodziło. Widzę, że trzeba będzie inaczej umowę wykonać. I Zofia i ja chcemy prosić Irène na matkę chrzestną. Dziecko się urodziło na ziemi francuskiej, niech mu będzie matką chrzestną taka Francuzka, która weszła do polskiej rodziny. A na ojca chrzestnego wiecie kogo chcę prosić?

— ?

— Dziecko jest i zostanie Polakiem. Chcę prosić konsula polskiego! Jak myślicie, czy się zgodzi?

Walczak nie ma przekonania do obecnych polskich kompletów, ale wie że żonie jego by to sprawiło radość, zresztą trochę pochlebia i jemu stanowisko przyszłego kuma, więc mówi:

— Poco jak widzicie. Czwarte dziecko i ojciec inwalida... Może się zgodzić.

Woziński wprowadza przyjaciela do izby.

Tam nad kołyską z dziecięciem sporo pochylonych głów. Sami starzy znajomi. Ciekawskie spojrzenia trojga starszych dzieci, czułe matki, uszczęśliwione dziadków. Z ubioru widać, jak zamożniejsi są starzy Wozińscy od Walentego Krośnika. Żeby uniknąć tłoku w pokoju, w którym leży mały, część zebranych przechodzi do izby jadalnej. Tam pod kominem kobieta rozpala chrust, podniecając ogień owym misternym delikatnym mieszkiem, który tak zabawnie odbija od prostoty zabiegu. Tymczasem dwaj dziadkowie zaczynają grać w warcaby.

W domku Emilii Crasegnac staruszka, jej syn Constant, spekulant wojenny i jego żona przeliczają skarby „ustrzelane" jeszcze czasu wojny. Ukryte są one w zakamarkach, do których tylko ze świeczką można trafić. Crasegnacowie postanowili je lepiej ukryć, zakopać, bo boją się donosów, złodziei, policji, wszystkiego. W czasie przepakowywania skarbu możemy spostrzec jak młodsza Crasegnacowa (ma już ponad czterdziestkę), kilka drążków chowa przed mężem i teściową dla siebie. Będą jej potrzebne. Ta niegdyś flirciara i naganiaczka studenckiej klienteli do sklepiku męża, potem nie gardząca flirtami z boszami, teraz opłaca sobie młodego chłopca — kochanka, z którym się spotyka dość często.

Kiedy już dokonano przepakowania i lepszego ukrycia skarbów, Crasegnacowie wychodzą z kryjówki, ale przez nieuwagę zostawiają tam niedopaloną świeczkę.

Świeczka dopala się. Knot wywracając się nie gaśnie, lecz zalana stearyną półka z papierami wybucha płomieniem. Języki ognia suną, wkrótce dom stanie w ogniu.

Tymczasem dziadkowie u Wozińskich grają w warcaby, a Kazimierz wraca wertepami do swej chaty.

Żona go oczekuje, ale nie sama. Dwoje gości do niej zawitało. Francuski policjant i polski funkcjonariusz repatriacji — postać komiczna, nieudolny agitator. Agitator został wysłany, aby zorganizować w porozumieniu i za przyzwoleniem władz francuskich, do czego są one obowiązane w skutku umowy między rządami, zebranie informacyjne dla Polaków, chcących wracać do ojczyzny. Policjant francuski mu towarzyszy ze względów porządkowych, na razie zaszli do zagrody Warczaka, a nie zastawszy gospodarza ucięli rozmówkę z jego żoną do której policjant nawet się stara zalecać, z niewielkim wszakże powodzeniem. Rozmowa toczy się na temat warunków pracy i życia w Polsce i Francji, przy tym agitator mówi oczywiście nonsensy, że w Polsce jest oliwy i wina dziesięć razy więcej niż we Francji, natomiast na proste pytanie ile kosztuje masło i mięso nie umie odpowiedzieć, a zapytany co warto z sobą do Polski brać, powiada, że cukier. Jego dyskurs jest monologiem, którego nikt nie słucha, bo ani to nie obchodzi Irène, ani tym bardziej Francuza, który tylko wodzi wzrokiem za Irène, próbując się wciąż bezskutecznie do niej zalecać, wyraźnie mu się ona podoba. W pewnym momencie tylko od niechcenia pyta agitatora, dlaczego, jeśli w Polsce jest taki raj, on siedzi tu, chce namawiać do powrotu swych ziomków, a sam nie wraca do swej ojczyzny? Agitator się tropi, nie wie co odpowiedzieć.

Żona Constanta Cracegnac, Julie wykrada się właśnie na randkę z utrzymywanym przez siebie gigolakiem, który obiecuje sobie zarobione u niej pieniądze puścić w paryskich „oublietkach".

Języki ognia suną w zabudowaniach Crasegnaców. Zajmują się ogniem jakieś paki i budy. U Wozińskich starzy grają w warcaby.

Krośnik naciera i odzywa się:

— Mówię wam, zwińcie gospodarstwo i wracajmy wszyscy do kraju.

— Dobrze wam tak mówić jak nic nie macie. Ja tu już mam kawał ziemi na własność. Sprzedać? Stracić? (traci pionka). Niewiadomo co tam się odkupi? (Próbuje kontrataku).

Płomienie ognia pełzną pod dom Crasegnaców. Julia na łące ściska się z gigolakiem, a do domu na skraju drogi gdzie goszczą policjant i agitator nieudolny, zastukał agitator zręczny, który nie marnował czasu na próżne gawędy, lecz zapoznał się z okolicą, przegląda jakieś statystyki i robi słuszne uwagi swemu koledze, że źle ów pojmuje swoją rolę. Najlepszym naszym sprzymierzeńcem jest prawda, powiada. Nie trzeba koloryzować, fałszem się pozyska tylko głupich, a z nich mały zysk.

Do rozmowy wplątuje się policjant francuski. Mówi, że na wielkiej polityce się nie zna, wie że wielu wielkich polityków wolałoby we Francji zatrzymać element cudzoziemski, ściągnąć ich jak najwięcej. On się na tym nie zna, jemu wszystko jedno, byle był porządek, a z cudzoziemcami najczęściej są tylko kłopoty. Iluż to nie wracając do swego kraju wykoleja się! Ile na przykład zbrodni dokonują cudzoziemcy. Nie chcę obrażać Polaków, ale...

Agitator nieudolny coś bredzi, agitator zręczny tłumaczy warunkami wzmożoną zbrodniczość na emigracji. Irène staje w obronie Polaków. Mówi z gniewem, że jak było resistance, to i jej mąż i jego rodacy dobrze się zasłużyli Francji i nie zarobili sobie na te wszystkie oskarżenia.

Języki ognia podchodzą do stodoły w obejściu Crasegnaców. Stodoła staje w płomieniach. Za chwilę płonie całe obejście.

Wertepami wraca Kazimierz do domu. Schodzi ze wzgórz, gdy spostrzega łunę. Przyśpiesza kroku.

Łunę dostrzeżono i w domu przy szosie i w domu Wozińskich.

Przy gaszeniu pożaru, a pierwsza przybiegła na ratunek Geneviève Porchet, podczas gdy Constant Crasegnac zajęty obliczaniem jakichś nowych zysków późno zorientował się co się dzieje, a jego żona nie od razu się wyr-

Życiorysy miast

Kosze śliw pełne

Kiedy dojeżdżałem do Ziębic, już wieczór migotał gwiazdami. Później zaś szedłem ku miastu drogą, nad którą kołysał się przedwiosenny wiatr. Gdzieś daleko przede mną skandowały rytmicznie wagony pociągu, który odjeżdżał, pozostawiając mnie samotnego pośrodku nocy. Pomimo gwiezdnych przebłysków nie widziałem nic prócz ciemności, oblepiającej oczy. Czułem się nieskończenie samotny i jakiś prawie skrzywdzony. Bałem się, że nie znajdę noclegu. Co wtedy? myślałem, co wtedy? Chyba powrócić na dworzec i zatuliwszy się w ławkę, oczekiwać świtu i dnia.

Z głębi nocy wynurzył się cień. Błysnęło okucie daszka. Młodociany milicjant kiwa głową potakująco. Tak. Oczywiście. Jest hotel. Ot tu. Zaraz niedaleko, na lewo. Tam może pan przenocować. — Twarz pod daszkiem zanurza się w noc. Jeszcze tylko postukiwanie kroków. Wiatr szumiący w przydrożnych drzewach. Później skłębienia ciemności przeszyte dalekimi światłami, czającymi się gdzieś w głębiach izb. Aż wreszcie już na granicy ostatecznego zmęczenia szyld oświetlony latarnią. Bar. Restauracja. Hotel.

W tym hotelu spędziłem noc. Pokój był mały, zimny i nieprzytulny. Byłem też chyba jedynym gościem. Przed tym jeszcze, nim noc nastała, piłem w barze na dole grzane piwo słodkie i gęste. W odbiorniku radiowym szumiały jakieś melodie. Wrocław, Warszawa, znów Wrocław. Poranek obudził mnie marcem. Za oknem szarzało niebo. Otworzyłem okno szeroko i poczułem wiatr przedwiosenny. Na gałęziach bzowego krzaka zobaczyłem zgrubienia seledynowych pąków. Przedwiośnie w małym miasteczku, zakołatała myśl. Przedwiośnie w małym miasteczku. Taki mógłby otrzymać tytuł liryczniesentymentalny poemat bardzo młodego twórcy.

Bardzo długą ulicą dochodzę powoli do rynku. Rynek, ratusz, wąskie uliczki. Czyżbym już był kiedyś tutaj? Ależ nie. Nic podobnego. Ale na Dolnym Śląsku schemat planu magdeburskiego rysuje się bardzo wyraźnie, świadczac o wiekowości tutejszych miast i miasteczek. Ale pamiętać należy, że plan ten podyktowała kolonizacja niemiecka, która w epoce gotyku zacierała dosyć brutalnie zarysy dawnych osad słowiańskich, które tu były przed tym. Tak jest i z Ziębicami. Miasto o planie dzisiejszym, położone w pagórkowatym terenie sudeckiego przedgórza, liczy już 700 lat. Powstało w XIII w., a od XIV stulecia słynie już jako rezydencja Piastów linii ziębickiej. I dziś tak jak przed siedmiuset laty ludzie zdążający na rynek przechodzą pod bramą miejską, za którą ulica opada wdół ku willom i dachom przedmieść. Przyglądając się bramie domalowuję sobie postacie halabardników, toporników czy procarzy książęcych, pełniących tu czujną „stróżę". Czuwających nad bezpieczeństwem księcia piastowskiego i grodu.

Partia murów, oskrzydlających bramę, nie ciągnie się zbyt daleko. Tylko niewielki odcinek przetrwał do naszych czasów. Pragnąłem wykryć ich bieg. Mur drgający, rozwibrowany chropowatą powierzchnią, nasiąkły zmianami pogód, wchłonął w siebie całe stulecia. Chwilami ginie zupełnie w jakichś przybudówkach, parkanach, w jakichś ściankach wątłych i nachylonych. Chwilami wyłania się znów. Niezżarty przez rdzę przeszłości, tak nowy, czysty i gładki, jakby wzniesiony był wczoraj. Gdzieindziej znów jest zmurszały, obrośnięty rudawym mchem lub brodaty kępkami żółtej, zimowej trawy wyrastającej ze szczelin. Jakieś grzbnie, pleśnie, liszaje okryły go, oplątały, zlepiając zmurszałe cegły. I tak zwolna rozkrusza się i wietrzeje, ale pomimo to trwa.

Chlubą Ziębic jest Muzeum Miejskie. Zbiory nie są jeszcze udostępnione i właściwie nasuwa się mimowoli wytanie, czy ze względu na fakt, że zgromadzone tu na dwóch piętrach w czternastu salach eksponaty są naprawdę bogate, warto zatrzymywać je w mieście małym, liczącym zaledwie kilka tysięcy mieszkańców a leżącym w odległości dość znacznej od głównych dróg turystycznych. Tym niemniej z głębokim podziwem oglądam bogaty zbiór śląskiej sztuki ludowej, zabytki kultury mieszczańskiej, zabytki prehistoryczne, sztukę kościelną, ceramikę, kołowrotki, pieczęcie, puchary, dzbany i misy cynowe. Dobra stara robota. Zauważam jednak i tutaj, tak jak to zauważyłem już nieraz w innych muzeach poniemieckich, pomieszanie przedziwne eksponatów dwóch różnych kultur. Zabytki sztuki ludowej, dokumenty kultury śląskiej wystawione są tu obok eksponatów, przynależnych do kręgu kulturalnego mieszczańskich Niemiec. W tym fakcie jest zawarta odpowiedź, dlaczego szereg muzeów regionalnych Dolnego Śląska jest wciąż jeszcze nieudostępniony dla zwiedzających. Muzea regionalne muszą być muzeami śląskimi i muzeami polskimi. W nurt ogólnych dziejów narodu musi głęboko przeniknąć historia kultury śląskiej. Związki owej kultury z wartościami ogólno-narodowymi, z podłożem kultury Słowian muszą być przedstawione w muzeach regionalnych, w których mieszkaniec wsi i małego miasteczka, młodzież, robotnicy i chłopi, nauczą się i zrozumieją, że Śląsk nie jest bynajmniej terenem, na którym znaleźli się przypadkowo, w wyniku pobicia Niemców i nowych układów polityczno-geograficznych, ale ziemią polską jak inne, gdzie polskość nie wygasała nigdy, nie przekwitała nigdy, choć zagłuszały ją chwasty naleciałości niemieckich.

Kiedy zamknęły się za mną drzwi ziębickiego muzeum, z trudem odegnałem od oczu obrazy historycznej przeszłości. Był to już prawie wieczór i wiotkie, rozproszone obłoki przesuwały się nad dachami, z których ściekało przedwiośnie. Ulicą szli robotnicy, powracający z fabryk. Niektórzy nieśli węzełki, oblepione zaschniętą gliną. Wiem, to pracownicy miejscowej fabryki ceramicznej ukończyli swój dzień roboczy. Wielka fabryka kamionkowych wyrobów, największa na obszarze Niemiec przedwojennej epoki, już w roku czterdziestym piątem wznowiła swoją działalność. Dziś, pod zarządem polskim fabryka zatrudnia już około siedmiuset pracowników, wyleczywszy się ze zniszczeń wojennych, które dawały się ująć cyfrą około 30 proc. Plan rocznej produkcji wynosi 20 tys. ton fabrykatów. Surowca dostarczają miejscowe złoża kaolinowe. Poza tym czynne są inne fabryki — browar, cukrownia, fabryka owocowych przetworów.

Tak jak Niemcza jest bazą hodowli drzew czereśniowych, Ziębice od dawna są znane jako ważny ośrodek hodowli śliw. Jakoś tak już jest u nas, że człowiek w Polsce zawsze tęskni za owocami, w których „karygodnym" nadmiarze pławią się kraje południowo-europejskie. I teraz na myśl o śliwkach przesuwają się przed mymi oczami wizje ogromnych koszów wypełnionych po brzegi słodkimi, granatowo-fioletowymi i złocistymi płodami szczodrej jesieni ziębickiej.

Ale teraz jest marzec dopiero i nad wyniosłą dzwonnicą gotyckiego kościoła, który czerwieni się w blaskach zachodzącego słońca, przelatują czarniawe wrony. Zrywa się cierpki wiatr i truchcikiem przebiega przez rynek. Krople deszczu zaczynają szeleścić. Fabryki odśpiewały już fajrant, a teraz groteskowe postacie rozwiane przez falę wiatru, pozacierane przez zmierzch, obsypane pierwszymi, omglonymi światełkami wieczoru, znikają w czeluściach bram.

Tadeusz Zelenay

Do sytuacji w Berlinie — komentarz satyryka

WSCHODNIOBERLIŃCZYCY!

Unikajcie smaku mocnego wschodniostrefowego piwa w cenie 1.50 Mk. Pijcie to samo piwo w zachodnich sektorach Berlina w cenie 6 Mk. Tylko w ten sposób możecie szybko roztrwonić swoją pensję.

* * *

Unikajcie elektryczności w swoich mieszkaniach! Bojkotujcie prąd wschodniostrefowy, czyli komunistyczny! Kupujcie świeczki za pieniądze zachodniostrefowe! Tylko w ten sposób możecie sobie zniszczyć wzrok.

* * *

Unikajcie Szekspira i Schillera w teatrach wschodnioberlińskich! Odwiedzajcie na klęczkach widowiska pasyjne w Oberammergau, którymi kieruje zachodnioreligijny fryzjer radiowy a de Kowa. Tylko w ten sposób możecie sobie popsuć żołądek.

* * *

ZACHODNIOBERLIŃCZYCY!

Demaskujcie zachodnioberlińskich artystów, występujących w teatrach wschodniostrefowych! Prowadzcie ich ulicami zachodnich sektorów i zawieśści jak za czasów Stuermera tabliczki u ich karków, na nich zaś wypiszcie n. p. co następuje: „Jestem absolutną świnią! W Deutsches Theater wystąpiłam w roli hauptmannowskiej Hannele!" Lub: „Należę do wstrętnych szkodników i łobuzów! W jednym ze wschodnioberlińskich teatrów wystąpiłem w roli Hamleta i postać tę, cóż za świnia ze mnie, odtworzyłem na dodatek dobrze. Hańba mi!"

* * *

Niszczcie wszystko, co przychodzi ze Wschodu! Książki i gazety, czeki i listy miłosne, gotówkę i papiery wartościowe! Zniszczcie każdego zachodnioberlińczyka, który tych rzeczy nie niszczy!

HORST LOMMER
(„Die Weltbuehne")

w Cadelech

wała z objęć kochanka, zanim też skoczyła na pomoc, powstał nieopisany zamęt, przy czym obie staruszki i ratowana Emilia i ratująca Geneviève padły ofiarą pożaru. Może zaważyło w nieszczęściu to, że młodzi Crasegnacowie najpierw rzucili się ratować to zabudowanie, gdzie były ukryte skarby, a nie to, gdzie znajdowała się niezaradna już staruszka. Ta też w ostatniej chwili życia więcej myślała o jakichś szkatułkach, niż o własnym bezpieczeństwie. Napróżno Geneviève wzywała ją, aby jak najprędzej wyskakiwała przez okno. Płonące belki, waląc się pogrzebały je obie i ratowaną i ratującą.

Ratowanie skarbu kosztowało coś niecoś i Crasegnaców. Nie wiele ocalili, a poparzyli się porządnie, zwłaszcza ona, której ogień dobrze oszpecił twarz. Drożej będzie musiała teraz płacić gigolakom.

Kazimierz po wertepach biegiem wrócił do domu. Stanął w drzwiach zdyszany, gdy powitały go badawcze oczy policjanta.

— — — — — — — — — — — —

Polski konsul generalny w Paryżu, starszy, dostojny, zażywny pan czyta list napisany bardzo nieortograficznie i z domieszką wyrazów francuskich w którym inwalida Woziński, ojciec czwartego dziecka pozwala sobie prosić konsula na ojca chrzestnego. Chrzest ma się odbyć już nie zadługo w jedną z najbliższych niedziel. Konsul wzywa urzędniczkę i odbywa z nią krótką naradę. Powiada, że będzie musiał tego, a tego dnia na dwa dni opuścić biuro, bo nie należy odmawiać takiej ludzkiej prośbie.

— Świat, ani polityka światowa nie zawalą się bezemnie w ciągu tych paru dni.

— Ale panie konsulu, argumentuje urzędniczka — w tym czasie właśnie przyjadą z kraju dwaj bardzo wybitni intelektualiści na zjazd. Miało być dla nich śniadanie u ambasadora, jak przyjadą. Inaczej poobrażają się. Trzeba im ułatwić kontakty. Zjazd jest bardzo ważny. Nasz prestiż wymaga żeby być dobrze reprezentowanymi...

— Dobrze reprezentowanym można być i przez dobrze ułożoną fokę, albo morsa. W naszej służbie mimo wszystko nie powinniśmy nigdy zapominać o prostych ludzkich sprawach. Uważam, że powinienem przyjąć prośbę obywatela Wozińskiego. Pani ze mną się uda Cadelech. Intelektualistów przywita pewnie na dworcu attaché Kubaśnik z ambasady i niedzielę spędzą tu sami, potem po powrocie poułatwia się im „kontakty".

— To panie konsulu będzie bardzo niegrzecznie z naszej strony!

— Tak pani sądzi? Mam wspaniałą myśl! Zaproponujemy im wspólny weekend — zwiedzenie prowincji francuskiej, będą mieli potem więcej o czym mówić ze swymi francuskimi kolegami, których nic naprawdę poza Francją nie interesuje. I pod pretekstem tego zwiedzania pojedziemy na chrzciny. Przecież obywatel Woziński pisze na końcu: „Prosimy o liczne przybycie".

Późnym wieczorem siedzą w bistro dwaj polscy „intelektualiści" i francuska „intelektualistka". Pierwszy z naszych intelektualistów Wawrzyniec Światowid jest bardzo ożywiony i niezgrabny w ruchach. Drugi Miętosław Kokosiński lekko znudzony i dostojny. Pierwszy próbuje tak wylawirować, żeby zostać sam na sam z Francuzką. Udaje mu się to, wtedy proponuje jej spędzenie wieczoru razem. Ale ta wtedy oświadcza, że umówiła się z mężem do kina i żegna go. Światowid udaje się jak niepyszny do „oublietki" na Mont Martre z nagimi tancerkami. A tymczasem Miętosław zmierza do lokalu w którym występują... chłopcy.

Malowniczy i dziki kraj ta prowincja Dordogne. Prześliczne miasteczko nazywa się Bergerac. gdzie w średniowiecznej pralni (kamienny pomost pod dachem przy rzeczce) jak przed ośmiu wiekami kobiety piorą bieliznę. Piękne drzewa południowej sosny ocieniają główną ulicę. „Aleję

bohaterów Warszawy" (tak). Boczna linia kolejowego toru dochodzi do tego miasta.

Dalej już jadą autobusy. Ale nie takie z określoną liczbą pasażerów jak w Paryżu, gdzie tylko miejsca siedzące można zajmować wewnątrz wozu, a na platformie jest ograniczona liczba osób. Tu napychają się dosłownie ugniatani przez właścicieli auta, a ci nowych zapraszają i nie ruszą póki zawartość nie zostanie zupełnie skompresowana.

A wchodzić można także przez okna, nawet przez wąskie okienko z tyłu autobusu. Przez płaskie, wąskie okienko na przystankach będą potem niektórzy wyskakiwać, nie mogąc się docisnąć do wyjścia. Na ryneczek, na którym odbywa się takie ładowanie się pasażerów do autobusu — zajeżdża porządna, obszerna czarna limuzyna konsulatu polskiego, zatacza koło, szofer na mapie szuka drogi.

W limuzynie siedzą konsul, urzędniczka i dwaj intelektualiści. Limuzyna rusza tą samą drogą wśród gór, co przytłoczony autobus. Bardzo prędko pozostawia autobus za sobą i jedzie dziką okolicą. Z szosą krzyżują się polne drogi, białe w wapiennym gruncie. Na skrzyżowaniach szofer bada mapę. Kiedy już lekko tracą nadzieję, czy drogi nie pomylą, spostrzegają przy szosie obejście, próbują zastukać i rozmówić się po francusku. Ki diabli, można się porozumieć i po polsku z gospodarzem obejścia. Śmiesznie, odświętnie ubranych dwoje ludzi, Kazimierz i Irène Warczakowie wybierają się właśnie na chrzciny. Cóż się okazuje? Kobieta ma być właśnie matką chrzestną synka Wozińskich, a więc kumą konsula. Następuje zawarcie znajomości przyszłego kuma z kumą. Ta łamanym językiem mówi już wiele polskich wyrazów. Teraz, po śmierci matki na początku wojny od bomby lotniczej, śmierci ojca, który w niewoli zapadł na suchoty i już z nich nie wyszedł, a ostatnio po tej strasznej śmierci babki w płomieniach, jest Irène zupełną sierotą, wżyła się zupełnie w środowisko polskie, jest nawet bardziej fanatyczną zwolenniczką Polski niż Polacy i nie ma tych zastrzeżeń i wahań w stosunku do obecnej Polski jaka się zdarza u emigrantów i której nie jest pozbawiony nawet sam Warczak. Realistyczna, trzeźwa umysłowość Francuzki nie ma tych najrozmaitszych zatorów psychicznych, nie rozumie ich i wydaje się jej że myśli bardziej po męsku i logiczniej niż jej polskie otoczenie wraz z mężem. Ma o tym okazję wywnętrzyć się konsulowi, gdy już siedzą razem w aucie, które może pomieścić sporą ilość osób i konsula i ją i urzędniczkę i intelektualistów. Kazimierz usiadł przy szoferze, aby wskazywać mu drogę. Perypetie wielkiej limuzyny na ścieżynach i wertepach stwarzają sporo zabawnych sytuacji. Część drogi trzeba odbyć piechotą. Limuzyna szamoce się wśród kamiennych usypisk, malin, strumyczków, ale zdaleka jest już powitana entuzjastycznie. Gromada ludzi wybiega na jej spotkanie.

Chrzciny zapowiadają się jak należy. Na palenisku w kominku na żywym ogniu pieką się gęsi, kury i króliki, przeważnie dary sąsiadów. Czeka wino w wielkich czterolitrowych butelkach — też dary. Schodzą się goście, kurna chata ledwie może ich pomieścić wszystkich. Więc oblegają podwórko. Tworzą się grupy rozmawiających o różnych interesujących ich sprawach.

Stary Woziński ze starym Krośnikiem gra w warcaby i znów się sprzeczają czy wrócić do Polski czy nie. Podczas gdy dwaj intelektualiści rozpełzają się w tłumie i Wawrzyniec Światowid zdradza specjalne zainteresowanie dziewczynami, a Miętosław Kokosiński podziwia chłopców, konsul zaczyna kibicować przy warcabach, gdzie gra się przechyla na stronę jak zwykle Krośnika. Partnerzy wciągają go do rozmowy. Rozpytują.

— Jak tam w Polsce?
— Twardo.
— Ale żyć można?
— Można.
— Masło jest?
— Jest.
— Oliwa?
— Dobrej brakuje.
— Cukru dostanie?
— Ile chce i tanio.
— Buty?
— Dobre, ale bardzo drogie.
— No ten to przynajmniej nie kłamie — mówią przysłuchujący się. — Panie Konsulu, poco tu przysyłacie do nas tych głupich ludzi. Czasem przychodzą mądrzy, którzy mówią wszystko jak potrzeba, ale czasem przychodzą i tacy co niestworzone brednie opowiadają o Polsce. Czuć od nich bujdą na kilometr. Wierzyć się im nie chce i nie może.

— Trudno, widzicie u nas jednych rzeczy nie brak, drugich brak. Czasem brakuje i ludzi... Prawda? — zwraca się do urzędniczki — największe są u nas braki jeszcze w aparacie. Ludzie zapomnieli, że najlepszą bronią i najlepszą propagandą jest prawda. Zapomnieli? Nie można zapomnieć tego o czym się nigdy nie wiedziało.

Tymczasem już pora udać się do kościoła. Rusza malowniczy orszak starym zwyczajem. Matka dziecięcia zostaje w domu. Zostają i jej rodzice. Inni z rodzicami chrzestnymi i z ojcem na czele idą do kościoła. Malca wiozą wózkiem. Malownicza okolica, ścieżki wśród gór dają pole do popisu pejzażyście i humoryście. Na wzgórzu małe miasteczko bardzo stary kościół.

Tego dnia razem jest chrzczone troje dzieci: dwoje francuskich i jedno polskie. Żadnych opłat nie ma. Jako dobrowolny datek ksiądz dostaje na potrzeby kościoła po... 100 franków od Francuzów i... 1000 franków od Polaków. Malec dostał złoty, piękny krzyżyk od konsula.

W knajpce odbywa się początek uczty — obowiązkowy apèritif. Grupa Polaków zaprasza księdza. Ksiądz jest rozpromieniony. Rozpytuje o nową Polskę i interesuje się nią szczerze. Na pytania jego padają ze strony konsula odpowiedzi szczere i objektywne.

Orszak wraca do domu. Na progu czekają dziadkowie i matka. Przed progiem, przed wpuszczeniem orszaku do domu padą obrzędowe pytanie.

— Kogo prowadzicie w dom?
— Chrześcijanina!
— Tak, chrześcijanina, nie katanina.

Wszyscy już są w domu. Rodzice dziecka otrzymali jako prezenty od konsula tradycyjne francuskie cukierki „pour baptême" i koniak, ale... polski. Ten prezent wzbudza sensację i zainteresowanie, zwłaszcza, że jest tego bateryjka, same mocne trunki o starych pięknych nazwach.

Tymczasem schodzi się reszta gości, wśród nich jeden Ukrainiec, Francuzi i Włosi. Przyszedł także Hiszpan, ów „Espagnol" jak go nazywają, straszny wyzyskiwacz w pracy, ale poza pracą brat łata. Można sobie z niego teraz pokpić, a przy poczęstunku nawet zażartować. „Monsieur il est temps de travail"!

Już sobie wszyscy podjedli i podpili, rozwiązują się języki i stary Woziński odważnie broni przed ambasadorem poglądu, że trzeba zostawać we Francji. Ma tu kawałek własnej ziemi, jest stary i schorowany, gdzie mu tam na nowe życie! Żona jego też słaba, ma wodę w nodze. Ale najgorzej z nim. Jest prawie kaleką. Od czasu jak został stratowany przez konny zaprzęg, ma bardzo poważną rupturę.

— Jak na mnie wtedy się rzucił ten kuń jak lijon! — dotychczas ma w oczach scenę, tratowania go przez konia zaprzężonego do wozu. Dobrze że człowiek ma ziemię. Do kraju nie pojedzie i wielkie to dla niego zmartwienie, że Krośnik namawia mu syna i synową do powrotu. Niech konsul pomówi z młodymi i wytłumaczy im, że nie trzeba wracać do kraju.

Zamiast odpowiedzi na to, konsul wznosi toast. Przemówienie dziarskie, patriotyczne, ale jednocześnie przeplecione grzecznościowymi zwrotami w stosunku do Francji z uwagi na obecność Francuzów. Sens przemówienia jest ten, że nikt nikogo nie zmusza do powrotu do kraju i nikt nie poluje na dusze. Ci obywatele, którzy nie odrazu się decydują na powrót mają takie same prawa do opieki przedstawicielstwa Rzeczypospolitej, jak i ci co chcą już teraz wracać. Trzeba tylko zawsze pamiętać, że stanowią oni jedną narodową rodzinę. Rząd nasz na nikogo nie wywiera nacisku. Jeśli czyni to kto, to tylko ci śmieszni poławiacze dusz, którzy myślą, że namawiając innych zarobią sobie na ciepłe posadki we Francji, w której sami zostać chcieliby jak najdłużej. Gdy padają te słowa, widzimy jak będący wśród gości kiepski agitator tropi się, a zręczny agitator tiumfująco nań patrzy, podczas gdy inni dają brawo konsulowi. Rząd nasz, ciągnie dalej konsul, jest rządem polskim i wszyscy obywatele mają do niego jednakowe prawa. Natomiast tym różni się od dawnych polskich rządów, że nie namawia, nie poluje na reemigrantów wprawdzie, ale tym. którzy chcą rzeczywiście wrócić do kraju, ułatwia ten powrót w miarę wszystkich sił i możności. Dzięki zawarciu korzystnej umowy międzynarodowej z gościnną (ukłon) Francją, której za to dano poważne koncesje w zakresie dostaw węgla (uśmiech), reemigranci mają możność zabrania ze sobą do Polski całego posiadanego mienia i pieniędzy bez opłat celnych i innych. Stwarza to uczciwe warunki wyboru przez człowieka jego losu. Miłe sercu konsula byłoby, gdyby jego chrześniak już prędko z rodzicami znalazł się w Polsce, do której sam konsul już za rok powraca, ale jeżeli Wozińscy nie zdecydują się na powrót, to konsul przez to wcale im nie cofnie swej przyjaźni i teraz w Paryżu, czy potem w Polsce będzie zawsze pamiętał, że jest ojcem chrzestnym dziecka, a więc drugim jego opiekunem po rodzicach rodzonych.

— A teraz ponieważ jesteśmy tu w gronie nie tylko polskim, ale i gospodarzy kraju, Francuzów, pierwszy kielich, jaki wzniesiemy polskim trunkiem niech będzie na dobre stosunki między naszą kolonią, a ludnością francuską, niech współżycie dwu narodów dobrze się układa, jak na tej uczcie zmieszane dobre wino francuskie z dobrym trunkiem polskim!

Tymczasem Polacy powlewali jarzębiaku Francuzom w kieliszki do wina, mówiąc żeby spróbowali teraz wina polskiego. Ci nie wiedząc, co się święci, spełniają pełne kielichy. Chwytają się za gardła i robią śmieszne miny. Najlepiej dogodziło to Espagnolowi, natomiast Ukrainiec triumfuje, na nim nawet tak mocny trunek nie robi żadnego wrażenia.

Po uczcie gromada ludzka odprowadzała do drogi samochód konsula, przedzierający się przez zarośla. Jeszcze dostał konsul w upominku... butelkę miejscowego wina własnego wyrobu gospodarzy, co go bardzo ubawiło. Tam gdzie droga stała się już jako tako możliwa, pożegnano gości z Paryża. Tylko matka chrzestna i jej mąż wsiedli do auta konsula i pojechano ku szosie, gdzie stał ich dom.

W czasie drogi konsul uciął szczerą rozmowę z Warczakiem o jego życiu i zamiarach. W rozmowie Warczak skarży się, że choć prawie wszyscy Polacy w okolicy są bardzo zasłużeni w czasie resistance, nie mają jednak faktycznie równych praw z Francuzami, są ludźmi drugiej kategorii. Słusznie więc wielu chce wracać do kraju. Taki na przykład Krośnik, nie tylko że sam zabiera się do powrotu, ale i innych ze sobą ciągnie. Namawia córkę i zięcia. Ci są w rozterce. Z rozmowy wynika, że najczęściej pozycja socjalna jest z godna z deklaracją życiową. Najchętniej wracać chcą prości robotnicy rolni, a ci co są właścicielami kawałka ziemi najczęściej wracać nie chcą. Dzierżawcy się wahają, a oni stanowią główną masę. Warczak też jest dzierżawcą. On sam możeby i wolał wrócić do Polski, zwłaszcza że jego żona Francuska jest pełna entuzjazmu dla takich planów, ale boi się, że Polska obecna różni się bardzo od dawnej, jaką znała i ma w swych oczach.

— A zresztą Francuzi to sprawiedliwy naród.

Na tym się żegnają.

Ledwie na szosie zniknęła limuzyna, gdy Warczak otworzywszy drzwi swego domu stanął w progu niemile zaskoczony. Policjanci francuscy już czekali nań z kajdankami i ku rozpaczy żony, poprowadzili go do karetki, która stała nieopodal.

(Dokończenie w nast. numerze)

Jerzy Zagórski.

Listy z Polskiego Zachodu

Rezerwat dzikich

Henryk Worcell, który w roku 1945 osiadł jako rolnik w powiecie kłodzkim, autor powieści pt. „Odwet" na tematy osadnicze, znajdującej się w druku, nadesłał nam następujący list, który drukujemy w całości zarówno jako dokument pracy pisarza na Ziemiach Zachodnich, jak i jako optymistyczny wydźwięk postępującej normalizacji życia na tych ziemiach.

Jeżeli sprawa Skrzynki staje się problematem, to przede wszystkim dlatego, że wieś jest oddalona od ośrodków cywilizacyjnych. Już w sąsiednich miejscowościach, gdzie znajdują się fabryki, stacje kolejowe, urzędy pocztowe, posterunki ORMO, gdzie często odbywają się zebrania, gdzie łatwiej dociera wędrowne kino, gazeta lub inteligent ze swą prelekcją — sytuacja przedstawia się o wiele korzystniej. Tam nawet listonosz, nawet akuszerka wywiera dodatni wpływ na mieszkańców.

Natomiast w Skrzynce oraz innych wioskach wciśniętych w zapadłe doliny górskie i zamieszkałe przez różnorodny element ludzki — jest inaczej. Jest źle. A raczej było źle, bo sytuacja zaczyna ulegać zmianie. Zaczyna się od wkroczenia na owe tereny wychowanków szkół milicyjnych, funkcjonariuszów MO.

W poprzednim moim artykule o Skrzynce uwypukliłem jaskrawo kontrasty ludnościowe naszej wsi. Nie przewidziałem wówczas z jaką reakcją spotka się mój artykuł na terenie Skrzynki. Co najmniej 75% ludności przyjęło go z najwyższym oburzeniem. Pomijam tych, których uraziłem, zaznaczając ich początkową literą nazwiska — rozumiem, że musiało im być nieprzyjemnie. Natomiast nie bardzo rozumiałem wściekłość całej masy innych ludzi i dopiero po ostatnich, skandalicznych wypadkach doszedłem do wniosku, że istotnym powodem oburzenia tych ludzi był lęk przed możliwością ujawnienia ciemnych spraw Skrzynki. Stałem się człowiekiem niebezpiecznym dla gromady, demaskatorem, zdrajcą. Pokazanie się wieczorną porą we wsi lub na zabawie tanecznej stało się dla mnie wielkim ryzykiem. Zaczęła działać intryga i wkrótce dowiedziałem się fantastycznych rzeczy o moim artykule: że napisałem jakoby, że cała górna część wsi to sami złodzieje i szabrownicy, że wymieniłem po nazwisku dziesiątki osadników, że oskarżyłem sołtysa o nadużycia, że Polaków zza Buga nazwałem Ukraińcami, a górali folksdojczami itd. itd. Czyż mogłem w tych warunkach biegać po wsi z „Nowinami Literackimi" i każdemu osadnikowi osobno czytać mój artykuł, prostować fałsze? Byłoby to i śmieszne i daremne, bo jak się przekonałem ludzie **chcieli** wierzyć, że ich „opaskudziłem". Przyznam się ,że mnie to bolało, było mi przykro, gdy widziałem jak ludzie dotychczas mi życzliwi odwracają się ode mnie.

Wreszcie w ciągu ubiegłej zimy zaszły wypadki, które gruntownie zmieniły mój stosunek do tutejszych ludzi. Trudno w jednym artykule opisać te sprawy jasno i szczegółowo, spróbuję jednak, gdyż bez tego problem Skrzynki nie okazałby się w całej pełni.

Zdarzyło się w grudniu, że sołtys naszej gromady sprzedał na własną rękę kilkanaście tysięcy cegieł będących własnością państwową. W kilka dni później ktoś napisał do Komisji Specjalnej anonimowe doniesienie na sołtysa. Sołtys oburzony i wściekły szuka „winowajcy". Przede wszystkim mnie podejrzewa o tą, „bezeczność" — prawdopodobnie dlatego, że należę do tych nielicznych w naszej wsi, którzy w ogóle piszą. Nie ma jeszcze odwagi zaczepić mnie otwarcie, ale przy każdej sposobności, gdy sobie podpije, wypowiada pogróżki i ohydne wyzwiska pod moim adresem.

Pewnego dnia zachodzę do nauczycielki P. Biedna kobieta niemal z płaczem opowiada mi, że sołtys wywożąc cegły z ogrodu szkolnego zburzył płot, a gdy upomniała się o naprawę uszkodzenia, zwymyślał ją publicznie. Gdy zażądała podwody po węgiel dla szkoły, obiecał wysłać podwodę, ale pod warunkiem, że nauczycielka da mu połowę węgla. W ogóle zachowanie się sołtysa wobec niej było poniżej wszelkiej krytyki.

Następnego dnia podczas zabawy tanecznej doszło do jawnego starcia między mną a sołtysem. Chodziło mu ciągle o ten anonim. Wyprowadzony z równowagi jego wyzwiskami i podsuwaniem pięści pod nos, powiedziałem mu publicznie, że jest złoczyńcą i że mu to udowodnię.

Zaczęło się. W ciągu najbliższych dwóch dni chodziłem po wsi i zbierałem informacje o sołtysie. Zebrało się sporo faktów bardzo obciążających tego człowieka: pobieranie łapówek, sprzedaż maszyn gminnych, kradzież zboża dworskiego itd. Właściwie to wszelkich informacji udzieliło mi troje ludzi — reszta, tj. prawie cała wieś zachowała wielką powściągliwość, a nawet wrogość w stosunku do mego śledztwa. Zrozumiałem, że podejmuję się sprawy niebezpiecznej. Sołtysa znałem od lata 1945 roku. Wówczas, w okresie bezgłowia administracyjnego pracowałem razem z nim na terenie wsi — osiedlaliśmy przybyszów ze wschodu, wysiedlaliśmy Niemców. Wiedziałem o nim, że jest bardzo energiczny, wybuchowy, łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi, ale nie zdolny do refleksji i wejrzenia w głąb siebie. Po wysiedleniu Niemców zająłem się swym gospodarstwem, później pracą literacką, z sołtysem spotykałem się rzadko. Od czasu do czasu tylko dochodziły mnie skargi i żale na niego. Teraz, gdy zainteresowałem się nim bliżej, ogarnęło mnie zdumienie. To już nie ten sam człowiek. Przyzwyczaił się operować setkami tysięcy złotych i dla zdobycia pieniędzy gotów był iść po trupach. Miał już dwie sprawy sądowe i karę w zawieszeniu, były anonimowe donosy na niego, zawsze jednak wychodził z tych opresji obronną ręką.

Zebraliśmy się na naradę: nauczycielka P., autochtonka F., młody osadnik B. i ja. Co robić? Zastanawialiśmy się, czy dobrze będzie sprawę sołtysa przedstawić komisji gromadzkiej, ale doszliśmy do wniosku, że z tego nic nie wyjdzie. Nauczycielka, która najwięcej od sołtysa moralnie ucierpiała i autochtonka F., którą sołtys najwięcej materialnie wykorzystał, były pewne, że sołtys komisję gromadzką sterroryzuje, a na nas, inicjatorach oskarżenia, będzie się mścił wszelkimi sposobami. Przecież połowa wsi, to jego wspólnicy i powinowaci. Później dopiero przekonałem się ile słuszności miały te kobiety i jak wielki błąd popełnilibyśmy oddając sprawę miejscowym ludziom. Postanowiliśmy sprawę powierzyć Powiatowej Komendzie M. O. i już następnego dnia pojechałem z osadnikiem B. do Bystrzycy. Złożyliśmy zeznania i podpisaliśmy je. Przy sposobności przedstawiłem też sprawę staroście, później sekretarzowi i wójtowi gminy w Lądku. Już tego samego dnia wieczorem sołtys naszej gromady został zawieszony w swych czynnościach. We wsi zrobił się ruch — wszyscy już wiedzieli kto sołtysa oskarża, ale nie wiedzieli, o co. On sam — typ zupełnie pozbawiony wyobraźni — sądził, że jest zawieszony chwilowo i zamiast myśleć o jakiejś obronie, przygotowywał atak na mnie i na osadnika B. Tymczasem my w dalszym ciągu zbieraliśmy informacje o sołtysie i znów długą listę jego przewinień doręczyliśmy gminie. Wypadki następowały szybko po sobie. Przybyła do Skrzynki komi-

(Dokończenie na stronie 4)

STANISŁAW PIASTOWICZ

Przed nocą

Dni lata jak wspominać w czas biały śniegu
Owoców smak przychylać daleki
Krwi struga płynie w białym puchu
Cienie wirują w obfitości lasów
Jaki zarys zwiastuje dębów milczenie
Śpiewy na dłoniach milkną
Sosen żyrandol dźwięczy
Na niebie skrzy się gwiazd zatoka śniąca
Panie przed czarną nocą ukryj moją duszę

KAZIMIERZ POPIOŁEK

Tematyka potrzeb

Katowice to nie tylko stolica jednego z województw naszego państwa. Katowice to przede wszystkim centrum najpotężniejszego naszego okręgu przemysłowego o decydującym znaczeniu dla stanu i rozwoju gospodarczego Polski i jej pozycji w świecie. To równocześnie główne miasto terenu, stanowiącego największe skupisko ludności robotniczej, a więc tej klasy, która zwłaszcza po zjednoczeniu klasy robotniczej wzięła zdecydowanie w swe ręce odpowiedzialność za losy naszego narodu i państwa.

Środowisko to posiada swoje problemy i potrzeby w każdej dziedzinie. Wiele z nich ze względu na rolę zarówno gospodarczą jak i polityczną górnośląskiego okręgu przemysłowego wybiega swoim znaczeniem daleko poza granice tego regionu, obejmując całe państwo, a nawet przekraczając jego granice.

Problemy to różnego rodzaju i charakteru. Nie zamierzam tu mówić o wszystkich. Chcę jedynie zwrócić uwagę na niektóre, najbardziej dla naszego regionu charakterystyczne, szczególnie zarazem ważne i zasadnicze, i spojrzeć na nie pod jednym kątem widzenia: o ile problemy te winny wzbudzić zainteresowanie naszej nauki i jaki udział w pracy naukowej nad tymi problemami przypaść może i powinien naszemu województwu i jego stolicy.

Wśród problemów o pierwszorzędnym znaczeniu, z punktu widzenia nie tylko regionalnego, na czołowym miejscu wymienić trzeba sprawy górnośląskiego przemysłu. Temat ten kryje w sobie całe bogactwo szczegółowych problemów. A więc dla przykładu np. sprawa odbudowy zniszczeń i zaniedbań wojennych i przedwojennych, wprowadzane ulepszenia techniczne i organizacyjne, rola wynalazków robotniczych, potrzeby inwestycyjne, rola przemysłu w dziele przebudowy naszej gospodarki na socjalistyczną (m. in. dla przebudowy w tym kierunku wsi), udział i związek z życiem gospodarczym całego państwa, znaczenie dla stosunków międzynarodowych itp. itp.

Ze sprawą przemysłu, produkcji, łączy się jak najściślej zagadnienie pracy i dającego ją człowieka. A oto dla przykładu: niektóre związane z tym konkretne zagadnienia: współzawodnictwo pracy w najróżnorodniejszych aspektach, zagadnienie administracji i prawa pracy, przemiany w położeniu materialnym i kulturalnym robotnika, wczasy pracownicze, budżet robotniczy, typ górnośląskiego pracownika, jego pozycja i tradycja itd. itd.

To następnie historia jego pracy i walki zwłaszcza od chwili powstania tu wielkiego, maszynowego przemysłu. Nie mamy dotychczas polskiej (zresztą i niemieckiej) historii wielkiego przemysłu na Górnym Śląsku i w dawnym Zagłębiu Dąbrowskim i dziejów tworzącej ten przemysł warstwy robotniczej, historii ciężkiego trudu tutejszego człowieka pracy. Nie wiemy prawie nic o robotniczych przywódcach w walce z wyzyskiem niemieckiego, międzynarodowego i rodzimego kapitału, nie zostały jeszcze w księdze historii zanotowane nazwiska licznych ofiar ucisku i walki socjalnej tutejszej ludności. Historyków naszych interesowały w śląskiej przeszłości prawie wyłącznie walki narodowe i polityczne. Tamtym, gospodarczo-społecznym zagadnieniom poświęcono znacznie mniej uwagi mimo, że one właśnie mają decydujące znaczenie i dla wszelkich innych spraw.

Inny, szczególnie dla naszego terenu aktualny problem to śledzenie procesu zrastania się osiadłej w tym kraju od wieków polskiej ludności z przybywającymi tu z wszystkich stron Polski i spoza jej granic grupami, śledzenie procesu tworzenia się nowego społeczeństwa i jego wrastania w życie całego narodu. To badanie związanych z tym procesem przemian demograficznych, gospodarczych, obyczajowych, kulturalnych czy administracyjnych.

Wydaje się, że nie ma potrzeby uzasadniania ważności tych problemów, nie ma potrzeby mnożyć dalszych związanych z nimi szczegółowych zagadnień. Wszystkie one (jak i wiele innych) wymagają gruntownego naukowego badania i opracowywania.

Czy problemy te winny być w takim czy innym stopniu rozwiązywane specjalnie na terenie naszego województwa, czy też właśnie ze względu na swe ogólnopaństwowe znaczenie należy ewentualne aspiracje środowiska w tej mierze uznać za nieuzasadnione, wygórowane? Świadomość tego, że nauka nawet w swym najbardziej teoretycznym ujęciu, nawet w najbardziej abstrakcyjnych dziedzinach, jest jak najmocniej związana z życiem, że z jego potrzeb wyrasta i ich zaspokajaniu, w mniej lub więcej bezpośredni sposób służy, świadomość tego pozwala bez potrzeby dowodzenia przyjąć zasadę, że każde środowisko musi również w dziedzinie naukowej współdziałać w rozpracowywaniu zwłaszcza tych problemów, które mu są najbliższe. Nie narusza to oczywiście niemniej podstawowej zasady, że wszelkie poczynania danego regionu i w dziedzinie naukowej muszą być podporządkowane wytycznym ogólnym, w skali całego państwa, muszą zostać objęte ogólnym, państwowym planem. Weszliśmy obecnie w trzeci, ostatni rok naszego pierwszego planu gospodarczego. Mamy przed oczyma rozsnutą przez Ministra Przemysłu i Handlu wspaniałą wizję planu sześcioletniego. Plany te dotyczą wprawdzie w pierwszym rzędzie zagadnień gospodarczych, ale planowanie wkracza i z każdym dniem wkraczać będzie coraz mocniej również w dziedziny badań naukowych. Konieczność planowej, należycie zorganizowanej pracy naukowej, wynika zresztą w sposób konieczny z zadań, jakie przed wszystkimi dyscyplinami wiedzy stawiają zasady materializmu dialektycznego i historycznego.

W planie tym, w dziele wykuwania wiedzy o pracy tutejszego człowieka i jej rezultatach, o złych i dobrych dolach tutejszego ludu, musi odpowiednie miejsce zająć i nasz region i jego stolica Katowice. O ich rodzaju i kierunku decydować winny w pierwszym rzędzie tkwiące w nim samym problemy i potrzeby. Ale nie tylko one. Niemniej ważnym czynnikiem, który zwłaszcza w fazie początkowej musi być powszechnie brany w rachubę, to warunki, to możliwości danego środowiska. Zastanowić się wobec tego z kolei należy, jakie możliwości posiada w tej mierze górnośląski okręg przemysłowy i jego stolica. Katowice. (Ze względu na specjalny charakter zagłębia górnośląskiego, powiązanego rozlicznymi więzami komunikacyjnymi, które czynią z niego jak by jedno wielkie miasto. Katowice należy uważać w pewnej mierze za symbol tego całego środowiska.)

Możliwości naszego środowiska wynikają w pierwszym rzędzie z faktu istnienia tu szeregu wyższych uczelni oraz instytutów badawczo-naukowych. Mamy następnie archiwa, muzea, biblioteki, te nieodzowne warsztaty naukowej pracy. Poza związanymi z tymi instytucjami pracownikami naukowymi istnieje na Górnym Śląsku ogromny rezerwuar sił, które w każdej chwili można w takiej czy innej formie zużytkować dla pracy naukowej. To nasi inżynierowie, technicy, robotnicy-wynalazcy, przodownicy pracy.

Możliwości te nie są jeszcze dotychczas w pełni wyzyskane, a istniejące na naszym terenie instytucje naukowe nie pełnią jeszcze tych wszystkich zadań, które tu właśnie najłatwiej i najbardziej celowo możnaby wykonać. Doceniając w całej pełni dorobek, wagę i ogromne znaczenie działających na naszym terenie wyższych uczelni oraz instytutów naukowych, życzyć należy, aby pożyteczną swą pracę ciągle rozwijały, poszerzały i pogłębiały. Równocześnie jednak stwierdzić trzeba, że brak albo też stanowczo za mało jest na terenie naszego województwa zwłaszcza instytucji o charakterze ściśle naukowym, bardziej teoretycznym, stojących na odpowiednio wysokim poziomie. Postulatem w tym względzie najdalej idącym, postulatem wysuwanym od pierwszych chwil po skończonej wojnie, jest utworzenie na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego pełnowartościowego uniwersytetu. Zdając sobie sprawę z konieczności liczenia się z realnymi możliwościami naszego państwa w tej dziedzinie, ciesząc się z każdego osiągnięcia zbliżającego nas do tego celu, trzeba równocześnie bardzo mocno podkreślić potrzebę utrzymania i rozbudowania tu takich instytucji, które mają dane po temu, aby w mniejszym czy większym stopniu pełnić choćby zastępczo te funkcje naukowe, które gdzieindziej związane są z uniwersytetami. Instytucji, które byłyby w stanie zaspokoić potrzeby i słuszne aspiracje górnośląskiego okręgu przemysłowego w dziedzinie naukowej. Istnienie tego rodzaju instytucji, ich rozbudowa i pomnażanie, przyciąganie i skupianie w naszym przemysłowo-robotniczym środowisku ludzi nauki to ważne a zarazem konieczne podbudowywanie i dopełnianie pracy rąk i mózgów tutejszych techników, robotników czy handlowców. To równocześnie konkretny wyraz tej prawdy, że z życia wyrasta i jego potrzebom służyć winna nauka.

Katowice, stolica decydującego o gospodarczym rozwoju Polski okręgu przemysłowego, centrum największego skupiska przodującej w życiu naszego narodu klasy robotniczej mają wszelkie dane po temu i mieć muszą uzasadnioną ambicję, ażeby również w dziedzinie naukowej rozwijać te zwłaszcza dziedziny działalności, które wynikają z charakteru i potrzeb górnośląskiego regionu.

KAZIMIERZ POPIOŁEK.

„Pan Tadeusz“ na scenie
Teatru Rapsodycznego

Krystyna Ostaszewska jako Telimena, August Kowalczyk i Stanisław Gronkowski w „Panu Tadeuszu“.

Mieczysław Kotlarczyk jako Poeta w „Panu Tadeuszu“ w Krakowskim Teatrze Rapsodycznym. Fot. A. Komorowski.

Danuta Michałowska jako Zosia i August Kowalczyk jako Tadeusz

Wyspa pokoju

Druga premiera pełnospektaklowej sztuki obecnego sezonu w Teatrze Ziemi Opolskiej, p. t. „Wyspa pokoju“ Eug. Pietrowa w przekładzie Marii Wisłowskiej jest wydarzeniem dużej miary w dotychczasowym repertuarze tej sceny. Świadome zerwanie przez Dyrekcję Teatru z dotychczasową linią repertuarową, jeżeli o takiej mówić by można, że istniała w ciągu ubiegłych sezonów, zapisać należy na korzyść kierownictwa tej placówki. Wystawienie bowiem wspomnianej sztuki w dniu 17 marca 1949 r., zdaniem moim, włącza zawodową scenę nadodrzańską w szeregi tych teatrów polskich, które sięgają do nowego demokratycznego repertuaru i świadomie przeobrażają i kształtują odbiorcę teatralnego. Z uwagi na to, że sztuka powyższa, wystawiona już w kilku teatrach, znalazła szerokie omówienie na łamach prasy literackiej nie wymaga ona szerszego omówienia, po premierze w Opolu. Tymczasem nowe zakończenie opolskie, t. j. cały akt czwarty, który jest odmienny od oryginału i od ostatnich scen tego utworu, podanych przez Teatr Kameralny w Warszawie, prosi się o krótkie zapoznanie z treścią.

Kapitalista angielski Jakobs, w obawie przed wybuchem drugiej wojny światowej, wyjeżdża wraz z całą rodziną i służbą ze swego kraju i chroni się przed okropnościami wojny na spokojnej wyspie, gdzie urządza sobie ciche mieszkanie na wzór londyński. Głoszone przez niego słowa o pacyfizmie są jednak cichą frazeologią, a zarazem sprytnym usprawiedliwieniem przed samym sobą swego tchórzostwa, które wygnało go z kraju. Jakże sprzeczne jest jego wygłaszane pokojowe przemówienie przez radio z zabraniem w tajemnicy przed wszystkimi broni na wyspę. Typowy ten kapitalista angielski, który skąpą ręką dla własnych celów podwyższa pensję swego sekretarza, na wyspie buduje ochronki, głosząc, że uważa to za obowiązek wyznawanej przez niego wiary. Z wybuchem nafty na wyspie Jakobs wykupuje wraz z rodziną parcelę od tubylców za druty do robótek ręcznych, zakładając przedsiębiorstwo „nafta angielska“, a żona jego, rodem z Ameryki, „naftowe przedsiębiorstwo amerykańskie“. Dwa te przedsiębiorstwa rywalizują ze sobą. Cudem ocalały w katastrofie morskiej Japończyk Baba przeszkadza firmom małżonków Jakobs, otwierając „naftę japońską“. Biedni tubylcy padają ofiarą eksploatorów ze świata angielskiego, amerykańskiego i japońskiego. I w tym momencie rozpoczynają się różne zakończenia sztuki. Według oryginału autorskiego sztuka kończy się wybuchem wojny między kapitalistami. W wystawieniu przez Teatr Kameralny w Warszawie, król plemienia Machunchina podpala naftę i organizuje powstanie tubylców.

W zakończeniu opolskim Japończyk powołuje przeciw Machunchinowi marionetkowy rząd tubylczy. Ludność wyspy oblega dom Jakobsa, w którym przebywa ich król Machunchina. Jakobs dla dojścia do porozumienia z Babą wydaje w ręce buntujących się tubylców Machunchina. Czyn ten potępia młoda generacja, która przybyła na wyspę z Jakobsem, wypowiadając się ostro przeciwko zbrodniom ustroju kapitalistycznego. Zakończenie sceny opolskiej jest ciekawe i posiadą bogaty wydźwięk dokonujących się przemian w sercach i umysłach młodych ludzi.

Wydaje mi się jednak, że bogata treść komedii Pietrowa na deskach scenicznych Opola przerosła siły zespołu tego Teatru. Reżyseria sztuki, spoczywająca w rękach dyr. T. Byrskiego, nie poprowadziła aktorów po drogach, wskazanych przez autora, a więc zgodnych z duchem utworu, lecz kazała im kierować się własną inwencją. Stąd też w przedstawieniu wyczuwa się brak skoordynowania środków aktorskich, które mogłyby nadać sztuce właściwą formę i dosadną interpretację tekstu. Nic też dziwnego, że pozostawieni sami sobie artyści dali jeszcze jedno przedstawienie na poziomie świetlicowym. I tak źle obsadzony w roli Jakobsa *Józef Pelszyk* ambitnie usiłował wyciągnąć z siebie, co tylko mógł. *Sabina Mielczarek*, w roli Pameli, *Fr. Bay-Rydzewski*, jako komandor Ellis Goodman i *Longin Dobrawski* jako mr. Baba, gdyby dostali się w ręce dobrego reżysera, mogliby zagrać swe role poprawnie. Jedynie z całego zespołu interesująco i prawdziwie odtworzyła rolę żony mrs. Jakobs — *Jadwiga Pytlasińska*, która swobodnie i naturalnie wypowiadała się w każdej sytuacji. O innych i o tych, oznaczonych w programie trzema gwiazdkami, nie czuję się zobowiązany wspominać. Wyjaśnić jednak muszę, że brak odpowiedniego zespołu w Teatrze Ziemi Opolskiej zmusił Dyrekcję do zamienienia roli dziadka na babkę (choć przyznać należy, że *Eugenia Kwiatkiewicz* wywiązała się całkiem dobrze). Krakowskie dekoracje *Andrzeja Stopki*, przystosowane dla sceny opolskiej, oraz do użytku na wyjazdy w teren, są przyjemne i interesujące. Natomiast kostiumy, wyjęte z angielskich journali, były za mało efektowne. Publiczność opolska, która w dniu 13 marca b. r. wypełniła piękną salę teatralną po brzegi, na przedstawieniu „Jak wam się podoba“ — W. Szekspira, zorganizowanym przez Państwowy Teatr Śląski z Katowic, w dniu premiery własnego Teatru nie dopisała całkowicie.

MICHAŁ POŁCZYŃSKI

Rezerwat dzikich

(Dokończenie ze strony 3)

sja gminna, wezwała kilkunastu ludzi do przesłuchania. Jak było do przewidzenia, większość wyparła się wszelkiego wspólnictwa z sołtysem, a nawet skrzywdzeni przez niego woleli milczeć.

Następnego dnia przyjechał do wsi komendant M. O. z Lądku i jego zastępca. Ci zabrali się do rzeczy bardzo umiejętnie i w ciągu dnia zebrali tyle materiału, że aż sami byli zdumieni mnogością sołtysowych przestępstw. Późnym popołudniem spotkałem się z nimi u nauczycielki P. Dziękowali mi, że sprawę sołtysa ruszyłem, ale byli trochę urażeni, że pominąłem gminny posterunek M. O., a udałem się do „powiatówki“ Było mi przykro, bo rzeczywiście nasze posunięcie mogło świadczyć o braku zaufania do tych młodych, a zdolnych ludzi.

Wieczorem komendant aresztował sołtysa. Rzecz charakterystyczna, że sołtys do ostatniej chwili zachowywał się wyzywająco i chodząc po wsi odgrażał się mnie i osadnikowi B., a w chwili aresztowania zdumiony i wściekły rzucił pod moim adresem: „czego ten s..... ode mnie chce!“ Bagatelka! Człowiek ma na sumieniu tyle przewinień, że czeka go kilka lat więzienia, a najważniejszą sprawą w tej krytycznej chwili jest dla niego osobisty porachunek ze mną!

Właściwie to dopiero po aresztowaniu sołtysa nastąpiły dla mnie najgorsze dni. Opinia całej wsi zwróciła się przeciwko mnie. Jakże trudno mi było w tych dniach pokazać się ludziom! Zewsząd czułem spojrzenia nienawistne, złe, zapowiadające zemstę. Nawet przyjaciele i znajomi, którzy dawniej zachęcali mnie szczerze do wszczęcia akcji przeciw sołtysowi, teraz omijali mnie jak zapowietrzonego. Rozumiałem tamtych ludzi: sojuszników i wspólników sołtysa; ich solidarność jest solidarnością szajki rabuśniczej — łączą ich wspólne szachrajstwa. Ale ci uczciwi? Czemu opowiadają się po tamtej, a nie po mojej stronie? Gdziekolwiek się zwróciłem, słyszałem głosy potępienia: że niepotrzebnie ruszyłem sołtysa, że zrobiłem źle. Doprawdy, chwilami miałem poczucie, że to nie sołtys jest złoczyńcą, lecz ja — zrozumiałem potęgę ludzkiej opinii, zrozumiałem przysłowie: „wlazłeś między wrony, krakaj jak i one“.

Dopiero gdy wychodziłem poza Skrzynkę, do Trzebieszowic, do gminy lub na posterunek M. O. zaczynałem się czuć zdrowo. Gdy komendantowi M. O., sekretarzowi gminy lub wójtowi opowiadałem o mojej sytuacji we wsi, ci otwierali oczy: „jak to? ma pan zmartwienie? Przeciwnie: powinien się pan czuć pewny siebie i śmiało patrzyć tym ludziom w oczy. Tamci są po stronie bezprawia, solidaryzują się z łajdactwem, a pan idzie prostą drogą“.

W kilka dni po aresztowaniu sołtysa spotkały mnie przykrości nowe, nieprzewidziane. Właściwie to powinienem był się ich spodziewać znając już sołtysa i jego sojuszników i wiedząc, że są zdolni do wszystkiego. Okazało się, że w starostwie i powiatowym U. B. leżą cztery doniesienia na mnie: dwa podpisane przez sołtysa, a dwa zredagowane przez kilku osadników ze Skrzynki. W tym wszystkim zastanawiająca jest jedna rzecz: gdyby te donosy pisał człowiek o dużej inteligencji, byłyby dla mnie niebezpieczne. Na szczęście tak bywa, że kto posiada inteligencję ten zazwyczaj kieruje się zasadami etycznymi i — jak w tym wypadku — nie będzie fałszywie zeznawał. Sołtys i jego wspólnicy jako typy pozbawione inteligencji, kierujące się ślepą nienawiścią, popełnili w swych fałszywych donosach szereg błędów rażących, łatwych do wykrycia. W krótkim czasie stwierdzono, że oskarżenia są bezpodstawne, a przeciwko niesumiennym donosicielom wszczęto dochodzenia.

Burza się przewala. Wprawdzie nie mam jeszcze odwagi pokazać się wieczorem we wsi, wprawdzie dochodzą mnie jeszcze pogróżki, a na mojego pomocnika urządzono istne polowanie wśród nocy, ale te rzeczy wydają mi się mniej przykre, niżeli zaślepienie ludzi dobrej woli. Po tych przeżyciach po raz pierwszy pozostał we mnie głęboki uraz do ludzi — nie umiem w tym czasie zdobyć się na pobłażliwość. Być może, ktoś pomyśli, że przesadzam, że histeryzuję, ale niechże ten kto tak myśli porzuci swoje kulturalne środowisko i pobędzie trzy lata w Skrzynce. Ręczę, że będzie czuł to samo, co ja.

Czasem zachodzę do autochtonki F., którą ludzie chcą zaszczuć i którą szantażują rzekomą niemieckością, czasem odwiedzam młodego osadnika B., przeciwko któremu również złożono fałszywe doniesienia — i staram się ich pocieszyć jak umiem. A do nauczycielki P. przychodzę najczęściej, ale już po to, by ona mnie pocieszyła. Ta kobieta ma swoje etyczne zasady i gdyby nie jedną, lecz dziesięć Skrzynek miała przeciwko sobie, stanęłaby wobec nich z otwartym czołem. A swoją drogą zdumiona jest tym wszystkim, co się w Skrzynce dzieje. Oto np. dowiedzieliśmy się, że podczas jednej zabawy tanecznej pobito starego osadnika K. Chłop leży teraz chory, z odbitymi nerkami, prawie umierający, ale sprawy ani do sądu, ani do M.O. nie oddaje, bo się boi zemsty. Pół wsi jeszcze teraz boi się zeznawać przeciwko sołtysowi, bo nużby ten wrócił z więzienia, albo któryś z jego wspólników dowiedział się o tym! Doprawdy stosunki iście sycylijskie, wieś sterroryzowana przez kilkunastu ludzi. Dopiero teraz nowi milicjanci, wzorowo wyszkoleni wkraczają na teren wsi i zaprowadzają porządek — wkrótce stosunki tutejsze ulegną radykalnej zmianie.

Ale jest tu zagadnienie inne, bardziej niepokojące. Często zastanawiamy się z nauczycielką, dlaczego ludzie neutralni, nawet poszkodowani przez sołtysa, z chwilą gdy aresztowano tego człowieka, zajęli stanowisko wyczekujące? Gdy się zjawiła milicja, to oprócz nas czworga, nie było dosłownie ani jednego człowieka, który by z własnej woli wystąpił i wyraźnie powiedział: „sołtys jest tym, a tym, wiem o nim to, a to“. Teraz kiedy burza minęła, kiedy już jest pewne, że sołtys nie prędko wróci, odzywają się głosy potępiające go i jestem pewny, że z biegiem czasu głosów tych będzie coraz więcej. Ale w krytycznym momencie nie było ich. A z drugiej strony wiem, że gdybym w tej rozprawie z sołtysem padł, został aresztowany, żaden z tych ludzi palcem by nie ruszył w mojej obronie. Nie chodzi tu o mnie, bo nawet jako pisarz poniekąd jestem zadowolony z tych przeżyć — chodzi o ten zasadniczy brak odwagi cywilnej u naszych ludzi, o tę przerażającą obojętność wobec zła. Jest w tym coś martwego — a nie ma nic smutniejszego na tym żywym świecie, jak martwota.

Nauczycielka P. jest żywa. Nurtują w niej myśli. Niedawno rozmawiała z jednym z najbardziej „czcigodnych“ osadników, takim, co to chce być najwięcej poważanym we wsi. Ten był też tego zdania, że źle zrobiłem ruszając sprawę sołtysa. Na zapytanie nauczycielki: „dlaczego?“ — odpowiedział: „to przecież wstyd dla naszej wsi“ — „Jakże to? — oburzyła się nauczycielka — czy nie większy wstyd ukrywać łajdactwa? To wy uważacie, że w środku można być zgniłym i cuchnącym, byle na zewnątrz nie było czuć? A gdyby sołtys zamordował kogoś — do czego zresztą wcześniej czy później na pewno by doszło — czy i wtedy chcielibyście ukryć jego zbrodnię?“ Bardzo jednak wątpliwe czy „czcigodny“ zrozumiał słowa nauczycielki.

Rozmawiała też z innym osadnikiem, takim co to lubi wszelkiemu nieszczęściu współczuć i okazać nieszczęśliwym serduszko (nie serce, lecz „serduszko“). Ten rozczulał się nad żoną i dwojgiem dzieci aresztowanego sołtysa. „No i cóż im się złego stanie? — zapytała nauczycielka. — Ona ma tu trzech braci i szwagra, to się nią zaopiekują, a poza tym z trzyletniego szabru sołtysa może żyć dziesięć lat“. — „Tak, tak — biadolił „sercowy“ — ale jednak te dzieci bez ojca, jak one zostaną wychowane?“ Na to nauczycielka: „Czy wy nie rozumiecie, że gdyby były przy ojcu, to wychowałyby się na takiego samego szubrawca jak on?“ Czy nie lepiej, że te dzieci są zdala od takiego ojca?“

Ostatecznie doszliśmy z nauczycielką do wniosku, że ten „czcigodny“ i ten „sercowy“ są groźniejsi dla naszego społeczeństwa, niżeli sam sołtys. Tego wcześniej, czy później można unieszkodliwić, tamtych dwóch nie.

Do takich to spraw, Panie Redaktorze, dochodzi się po latach osadnictwa w małej podgórskiej dolnośląskiej wsi. Takimi sprawami zajmować się musi literat, jeśli w środowisku tym, wciąż jeszcze kształtującym się od nowa, pragnie odegrać rolę o niemałym społecznym znaczeniu.

HENRYK WORCELL

JAN POWICKI: Wały Chrobrego w Szczecinie (akwarela)

Objazdowa Wystawa Żydowska
na Dolnym Śląsku

Żydowskie Towarzystwo Krzewienia Sztuk Pięknych urządziło 3 z kolei wystawę. Po dwóch wystawach warszawskich, trzecia ukazała się we Wrocławiu, skąd zostanie przeniesiona do kilku większych ośrodków Dolnego i Górnego Śląska. Skupiono tu kilkadziesiąt dzieł sztuki stworzonych przez artystów-Żydów. Zawieszono w tej ciasnej przestrzeni, jakby w jakimś małym wszechświecie, perły uczuć kilkudziesięciu pulsujących, żywych przepełnionych pięknem serc, które chociaż przestały bić, przekazały nam odblask swych wzlotów. Wstrząśnięci spoglądamy na te, krwią swych twórców tętniące obrazy. Otacza nas w tej sali coś nieprzemijającego, to czego ni zabić, ni zgnieść nie może — żywy nurt duchowych wzlotów narodu, który choć torturowany, jak żaden w świecie, oddaje swój skarb potomnym.

Wystawa zawiera ponad sześćdziesiąt eksponatów, wśród nich jedna rzeźba. Jest to **„Mesjasz“** — rzeźbiarza światowej sławy **Henryka Glicenstejna.** Rzeźba ta jest jakgdyby symbolem. W jego opuszczonej na pierś, pełnej mądrości i zadumania twarzy widnieje smutek, lecz nie beznadziejność. Boleje, lecz nie rozpacza. Czeka. Wyczekuje chwili, która musi nadejść, by porwać do czynu świat. Gdy w sercu jego ludzkości zapłonie mocny, wszechludzki ideał miłości i braterstwa — wzniesie do ust opuszczony obecnie w bezwładnej dłoni róg i radośnie obwieści światu nieśmiertelny zew: „Niech się ziści prawda! Niech zapanuje sprawiedliwość! Niech zginie przemoc!“

Zbliżamy się do obrazów. Z każdego z nich promieniuje odrębny nastrój. Oto subtelny pejzaż **Samuela Finkelstajna**, ówdzie spoglądają tajemnicze, przepastnie urocze oczy **„Dziewczyny żydowskiej“ Kanelby.** Tu zaś wisi przerażający swym tematem rysunek **Jonasza Szterna „W bunkrze“**: skulona pod deskami podłogi rodzina żydowska, nad jej głową dobijający się do domu hitlerowcy. Rysunek, na który spoglądam wykonał artysta, który na własne oczy oglądał ów przerażający koszmar i sam też go przeszedł, gdy jako ofiara jednej z „akcji“ leżał pod zbitą warstwą ciepłych jeszcze nagich trupów.

A oto 2 rysunki wysoce utalentowanego grafika i literata, laureata nagrody literackiej — **Bruno Schulza.** Jeden z rysunków — to pełna wyrazu **„Groteska“.** Drugi: **„Autoportret“**: wątły, nerwowy mężczyzna stoi przed sztalugami w swym atelier, pełnym obrazów.

Znów inny obraz powstaje przed mymi oczyma: ulica w rodzinnym mieście Schulza, Drohobyczu. Do przechodzącego podchodzi w jasny dzień hitlerowiec, bez słowa podnosi rewolwer i strzeliwszy do Schulza, kładzie go na miejscu trupem.

Odrywam się i idę dalej. Z dużego płótna pada smętne spojrzenie wymownych pełnych niewysłowionego, bolesnego uroku — oczu, pysznie odzianego Araba. Rysy twarzy szlachetne, usta pełne, zmysłowe. To uczeń Matejki genialny malarz **Maurycy Gottlieb,** który zmarł w 23 roku swego życia, pozostawiając nieśmiertelny skarb swej wspaniałej twórczości. Dalej urokiem swym urzeka **„chłopiec żydowski“ Wilhelma Wachtla.** Trudno oderwać wzrok od tych oczu smutnych, niedziecięcych przepełnionych jakby nieosiągalnymi marzeniami i nieobjętym bólem. Niedaleko wisi subtelnie wykonany **„Akt kobiecy“ Maksymiliana Eljowicza** który zginął z rąk siepaczy niemieckich. Obok mieści się dużych rozmiarów **„utoportret“ Leopolda Gottlieba,** brata Maurycego. Był to również artysta dużej miary, który stworzył dzieła nieprzeciętnej wartości. Potem długo przykuwają wzrok mistrzowskie prace jednego z najwybitniejszych malarzy żydowskich **Samuela Hirszenberga.** Chłoniemy piękno jego dzieła **„Chłopiec siedzący na oknie“,** zachwycamy się maestrią jego **„Tańca Żydów“.** W tych ciasnych ramach nie mogę zawrzeć wrażeń wywołanych pełnymi nieprzepartego uroku obrazami takiej miary artystów jak: **Jan Gotard, Buchbinder Szymon, Seidenbeutel Menasze, Kramsztyk Roman** i wielu innych. Nie mogę jednak pominąć prac jednego z najpłodniejszych i najulubieńszych malarzy żydowskich **Artura Markowicza,** który materializując w swych obrazach życie żydowstwa polskiego przed wojną, typy, które po strasznym kataklizmie wojennym, stały się tragicznymi postaciami — zasłużył na miano historyka żydowstwa polskiego. Takie jego sceny rodzajowe, jak: **„Dysputa nad etrogiem“,** czy **„Piszący torę“,** czy też **„Modlący się Żydzi“** — są dokumentami nie tylko artystycznymi ale i obyczajowo-historycznymi.

Bruno Schulz: U łóżka chorego

Artur Markowicz: Żydzi piszący Torę

Maurycy Gottlieb: Autoportret (kopia M. Gottlieba)

Maksymilian Eljowicz: Akt kobiecy

Ernestyna Podhorizer

Korespondencja z Zakopanego

PANIE REDAKTORZE!

Kiedy któregoś dnia, w rozmowie z pewnym kolegą po piórze wspomniałem kwaśno, że nie obchodzi mnie już, czy pogoda będzie czy nie, bo muszę wyjechać (i to szybko) z powodu ogromnego wyczerpania (oczywiście finansowego), odpowiedział mi tajemniczo:

— A z rodziną korespondowałeś? Ja (podejrzliwie):

— No z mamą. A bo co?

— Więc zamień mamę na pana redaktora, wyślij list do redakcji, oni ci przyślą forsę i żyjesz!

Jeszcze się opierałem.

— Wiesz, te ostatnie historie z prywatną korespondencją w tygodnikach literackich...

Ale słońce wyjrzało właśnie znad Giewontu, z hałasem przejechał autobus, unoszący śniadych narciarzy do Kuźnic, zapachniała mi śmietana i jajecznica na Gubałówce...

—No, może masz i rację — zgodziłem się.

* * *

W Domu Literatów „Wołodyjówka“, który nie tylko nosi literacką nazwę, ale w którym rzeczywiście mieszkają autentyczni naogół literaci, miało miejsce takie krótkie spięcie. Janusz Rychlewski, autor mającej się wkrótce ukazać powieści „Człowiek z gutaperki“ miał pewnego dnia szczery zamiar umycia sobie głowy (literaci miewają czasem takie dzikie pomysły). Zwraca się więc do hożej pokojówki i mówi:

— Będę wieczorem mył głowę. Proszę przygotować gorącą wodę i trochę octu.

Hoża pokojówka (grzecznie, lecz stanowczo):

— Nie ma octu.

Rychlewski (Janusz):

— Jakto, nie ma octu? (z determinacją). No to może jest musztarda??

Pokojówka (hoża):

— Nie ma musztardy. Są kiszone ogórki.

A mówi się, że literaci mają lekkie życie. Dziękuję, z ogórkiem kiszonym na głowie!...

* * *

W Zakopanem jest wszędzie tłok. Na obu kolejkach linowych, w kolejkach przed wędliniarnią, przy kolejkach w „Gongu“ i „Watrze“, poza tym w górach (w schronisku na Kasprowym dają świetną kiełbasę na gorąco) oraz w dolinach (w Kościeliskiej dają francuskie pasztecik... marzenie!)

Tylko na wystawie obrazów i rzeźb pusto jak na poranku współczesnej poezji.

* * *

Po paru zjazdach z Gubałówki jeden ze stałych mieszkańców Zakopanego (jest jeszcze taki jeden oprócz Makuszyńskiego i Meissnera) zwrócił się do mojego kolegi i do mnie z uprzejmą i niezupełnie żartobliwą prośbą, byśmy wybierali jakieś mniej zalesione tereny do swoich, (tu dobierał dłużej słowo) pełnych temperamentu wyczynów sportowych, bo prawda, w dobie ogólnej odbudowy kraju należy dbać o górski drzewostan (!)

— No dobrze, dobrze — powiadamy mu na to — ale jeśli się chcemy na przykład zatrzymać, podziwiać krajobraz, no to jak?

On: — Robi się wtedy chrystianię w lewo albo w prawo i kropka.

— Właśnie! — my mu chórem. — I kropka! A my zamiast kropki wybieramy sobie przytulnego chojaczka, trzask w chojaczka i stolmy! No, ewentualnie leżymy.

Zakopiańczyk pokiwał smutno głową. Miało to pewnie znaczyć: biedny drzewostan...

* * *

W „Europejskiej“ można spotkać całą Warszawę, całe Katowice, całą Łódź i kilka osób z Radomia. Z tego wynika zdumione pytanie: co to za ludzie siedzą całymi dniami w warszawskim „Kopciuszku“, katowickiej „Teatralnej“ i łódzkiej „Fraszce“? Duchy?

* * *

Napisałbym jeszcze kilka słów, ale trójka moich znajomych rozpacza zgodnie przez telefon, że znajduje się w impasie, bo murowany czwarty do bridge'a leży bez jednej (nogi) po zjeździe jakimś tam holwegiem, z czego wynika, że ja muszę go podobno zastąpić. Widocznie musze. Wobec tego ściskam dłoń, panie Redaktorze,

Kazimierz Winkler

Następny numer „Odry“ ukaże się z datą 17 kwietnia w objętości 6 stron i w cenie złotych 30.

W numerze znajdą się m. in. prace Egona Naganowskiego, Zdzisława Obrzuda, Jerzego Zagórskiego, Józefa Kostrzewskiego, Stanisława Telegi, Jana Brzozy, Zygmunta Izdebskiego, Tadeusza Zelenaya, Kazimierza Gołby, Ks. Jana Bouliera i Rogera Garaudy'ego.

Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik“, Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 019553

Krótkie spięcia

Melpomena i cholewy

Rzecz jasna, że na uproszenie naszego „savoir vivre'u oraz na zniknięcie z życia towarzyskiego rozmaitych uciążliwych a nieraz i śmiesznych zwyczajów nikt nie powinien narzekać. I też nie narzeka. Niemniej jednak prostota obyczajów jeszcze nie oznacza nonszalancji ani jakiegoś „j'men ifche'stwa“, czyli gwizdania na wszystko, co dotyczy pewnych słusznych a przyzwoitych form.

Chodzi w tym wypadku o taką rzecz konkretną, jaką są — buty z cholewami. Wiadomo, że zwłaszcza w zimie buty z cholewami są bardzo praktycznym obuwiem i nawet w pewnym sensie pożądanym. Można w nich brodzić po największych zaspach śniegowych, a jak nie ma śniegu, to żadne błoto dla posiadacza takich cholew nie jest straszne.

Inaczej jednak sprawa się przedstawia, gdy idziemy na ten przykład do teatru. Tu buty z cholewami, jakby nie było, po prostu nie „pasują“. Nie chodzi tutaj o jakiś snobizm, ani o silenie się na elegancję, czy coś w ten deseń, ale o to, że przedstawienie teatralne jest pewnym wydarzeniem kulturalnym i to wydarzeniem kulturalnym w dużym stopniu uroczystym, więc przy takim wydarzeniu obowiązują też odpowiednie formy towarzyskie. A do tych form należy też, jeśli chodzi o mężczyzn, noszenie długich spodni.

Wiemy naturalnie, że ciągle istnieją u nas jeszcze trudności ubraniowe i że do teatru nie chadzają dandysi, którzy mają czas i pieniądze na to, aby się stroić zależnie od pory dnia i roku. I wiemy też, że nie każdego stać na takie czy inne ubraniowe szczegóły.

Ale wiemy także z drugiej strony, ile pieniędzy kosztują eleganckie tzw. „oficerki“ i że kogo stać na takie tip-top lśniące i „fasonowe“ buty z cholewami, tego też stać na pewno i na długie spodnie. Zwłaszcza, że cały strój, jaki jest „przynależny“ do butów z cholewami, składa się — jak to nieraz możemy obserwować u olbrzymiej większości „cholewiarzy“ — z pierwszorzędnych tzw. części garderoby. A więc spodnie do konnej jazdy według ostatniego krzyku mody, marynarka extra klasa i tak dalej. Dowodzi to, że ów młodzian czy nie młodzian, który się wsadził w taki strój, napewno posiada dostateczną ilość mamony, żeby sobie móc sprawić spodnie mniej bufiaste, a za to więcej długie.

Zresztą tenże sam facet przy innej okazji, na przykład przy jakiejś domowej uroczystości rodzinnej, ubiera się bardzo wykwintnie i stylowo. Ale do teatru idzie w butach z cholewami.

Dlaczego? Dlatego, że chce się on snobować na pewien swój specyficzny sposób. To znaczy, że chłopak jest zdania, iż taka ekstrawagancja jemu właśnie odpowiada.

A więc panowie „cholewkarze“ przestańcie, bo się źle bawicie. W pięknych, eleganckich oficerkach wprawdzie bardzo wam do twarzy, ale nie w — teatrze.

NIEJAKI X.